

Zestaw konferencji o tematyce Światowych Dni Młodzieży,
przygotowany do wykorzystania przez organizatorów pieszych pielgrzymek na Jasną Górę.

Temat biblijny: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą” (Mt 5,8)

Autor konferencji: ks. Artur Ważny (diecezja tarnowska)

DZIEŃ PIERWSZY

INTENCJA: Dziękujemy za łaskę chrztu.

SZCZĘŚCIE MA IMIĘ I OBLICZE, CZYLI O PORTRECIE JEZUSA.

DZIEŃ DRUGI

INTENCJA: Polecamy małżeństwa i rodziny.

BÓG Z PRZODU, CZYLI O ZWIERCIADLE BOGA.

DZIEŃ TRZECI

INTENCJA: Modlimy się o wierność Bożym przykazaniom i Kościołowi Chrystusowemu.

LABORATORIUM WIARY, CZYLI O ZWIĄZKU BOGA Z CZŁOWIEKIEM.

DZIEŃ CZWARTY

INTENCJA: Modlimy się za Ojczyznę.

SKRZYDŁA WOLNOŚCI, CZYLI O KORZENIACH W NIEBIE.

DZIEŃ PIĄTY

INTENCJA: Modlimy się za dzieci i młodzież oraz za ich wychowawców.

RESPIRATOR DUCHA, CZYLI O IZDEBCE W SERCU.

DZIEŃ SZÓSTY

INTENCJA: Modlimy się o święte powołania do służby Bożej.

MUZYKA ŻYCIA, CZYLI O TAŃCU Z BOGIEM.

DZIEŃ SIÓDMY

INTENCJA: By dla każdego katolika „sercem niedzieli” była Eucharystia.

SEKRET MIŁOŚCI, CZYLI O GEOMETRII BOGA.

DZIEŃ ÓSMY

INTENCJA: Modlimy się o życie bez grzechu - w wolności dzieci Bożych.

POLEROWANIE SERCA, CZYLI O GRZESZNICY I HIPOKRYCIE.

DZIEŃ DZIEWIĄTY

INTENCJA: Modlimy się o odwagę świadectwa na co dzień.

ZNAKI TOŻSAMOŚCI, CZYLI JAK ZOBACZYĆ BOGA W KOŚCIELE.

DZIEŃ DZIESIĄTY

INTENCJA: Modlimy się intencji Światowych Dni Młodych w Krakowie w 2016 roku.

ZMARSZCZKI JEZUSA, CZYLI O BOGU UKRYTYM W CZŁOWIEKU.

DZIEŃ PIERWSZY

INTENCJA: Dziękujemy za łaskę chrztu.

SZCZĘŚCIE MA IMIĘ I OBLICZE, CZYLI O PORTRECIE JEZUSA

„Jezus, widząc tłumy, wyszedł na górę. A gdy usiadł, przystąpili do Niego Jego uczniowie. Wtedy otworzył swoje usta i nauczał ich tymi słowami: «Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni. Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiadą ziemię. Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni. Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią. Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą. Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie. Błogosławieni jesteście, gdy [ludzie] wam urągają i prześladowają was, i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe na was. Cieszcie się i radujcie, albowiem wasza nagroda wielka jest w niebie. Tak bowiem prześladowali proroków, którzy byli przed wami» (Mt 5, 1-11)

„A On podniósł oczy na swoich uczniów i mówił: «Błogosławieni jesteście wy, ubodzy, albowiem do was należy królestwo Boże. Błogosławieni wy, którzy teraz głodujecie, albowiem będziecie nasyceni. Błogosławieni wy, którzy teraz płaczecie, albowiem śmiać się będziecie. Błogosławieni będziecie, gdy ludzie was znienawidzą, i gdy was wyłączą spośród siebie, gdy zelżą was i z powodu Syna Człowieczego podadzą w pogardę wasze imię jako nieczne: cieszcie się i radujcie w owym dniu, bo wielka jest wasza nagroda w niebie. Tak samo bowiem przodkowie ich czynili prorokom. Natomiast biada wam, bogaczom, bo odebraliście już pociechę waszą. Biada wam, którzy teraz jesteście syci, albowiem głód cierpieć będziecie. Biada wam, którzy się teraz śmiejecie, albowiem smucić się i płakać będziecie. Biada wam, gdy wszyscy ludzie chwalić was będą. Tak samo bowiem przodkowie ich czynili fałszywym prorokom» (Łk 6, 20-26).

„Szczęście, którego szukacie, szczęście, którego macie prawo doświadczać ma imię i oblicze: to Jezus z Nazaretu (...)” (Ceremonia powitania - przemówienie Benedykta XVI Kolonia - Poller Rheiwissen, 18 sierpnia 2005). „Szczęście ma imię i oblicze – to Jezus” – te słowa papieża Benedykta XVI zapadły głęboko w serca wielu słuchaczy, zgromadzonych podczas XX Światowych Dni Młodzieży w Kolonii. Prosta, a zarazem bardzo głęboka definicja szczęścia. Warto ją przypomnieć teraz, kiedy wyruszamy na pielgrzymi szlak, rozważając słowa Jezusowych błogosławieństw, a zwłaszcza – „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą”(Mt 5, 8). Jednocześnie przeżywamy ostatnie miesiące przed kolejnymi, XXXI Światowymi Dniami Młodzieży, które w lipcu 2016 roku będziemy przeżywać w Krakowie. „Błogosławieni” znaczy „szczęśliwi”.

Powołanie chrześcijańskie – wbrew opiniom, że nasza religia jest religią cierpienia, naznaczoną wszechobecnym symbolem krzyża – jest przede wszystkim powołaniem do szczęścia. Szczęśliwi! To jest pierwsze i wydaje się najważniejsze słowo, które Jezus pragnie nam przekazać. Jesteśmy stworzeni i przeznaczeni do szczęścia. Droga błogosławieństw jest drogą szczęścia. Błogosławieństwa są wzorem podobieństwa do Boga, ponieważ ostatecznie szczęśliwy jest tylko Bóg. Pięknie o tym mówił św. Jan Paweł II w Toronto, w 2002 roku: „Drodzy przyjaciele, na waszą młodzieńczą wolę bycia szczęśliwymi stary Papież, obciążony latami, lecz jeszcze młody sercem, odpowiada słowem, które nie należy do niego. Słowo to zabrzmiało dwa tysiące lat temu. Dzisiaj usłyszeliśmy je ponownie: "Błogosławieni..." Słowem kluczowym nauczania Jezusa jest głoszenie radości: "Błogosławieni...". Człowiek został stworzony dla szczęścia. Wasze pragnienie szczęścia jest więc uzasadnione. Chrystus ma odpowiedź na wasze oczekiwanie” (Przemówienie Jana Pawła II na spotkaniu z młodzieżą w Toronto 25 lipca 2002 r.).

Zdziwienie ogarniało wielu, że tego ponad 82 letniego człowieka, słuchali ludzie młodzi i żywo reagowali na jego słowa. Papież mógł mówić dalej również bardzo fundamentalne słowa, które przez lata zostają w głowie i sercu: „Jezus nie ograniczył się do głoszenia Błogosławieństw, On nimi żył! Patrząc na nowo na Jego życie, czytając ponownie Ewangelie, dziwimy się: tym najuboższym z ubogich,

najszlachetniejszym spośród cichych, człowiekiem o najczystszy i najbardziej miłosiernym sercu jest właśnie Jezus. Błogosławieństwa są niczym innym jak tylko opisem twarzy, Jego twarzy! (Tamże.).

Ojciec święty Benedykt XVI wyrazi to trochę inaczej, jak już wcześniej wspomniano, trzy lata później: „Szczęście ma imię i oblicze – to Jezus”. Nie chodzi tu jednak tylko o wiedzę czy wzruszenia – chodzi tutaj o projekt życia, o którym pisał przed wielu laty św. Jan Paweł II, dając w roku 1985 do rąk młodych piękny dokument, będący owocem jego myśli i uczuć, związanych z jego relacją do ludzi młodych. Warto sięgnąć po ten list do młodych – „Parati semper” (Zawsze gotowi), który mimo swych 30 lat, nic nie stracił ze swej aktualności. Zawarte w tym dokumencie swoje myśli i sugestie wobec młodych, św. Jan Paweł II wciąż rozwijał i ubogacał, wędrując wraz z nimi drogami Światowych Dni Młodzieży, które ustanowił 20 grudnia 1985 roku. Święty Papież myślał o tym już wcześniej, w jaki sposób Kościół może być blisko młodych. W roku 1984 w Rzymie Jan Paweł II przekazał zgromadzonym tam młodym Krzyż Roku Jubileuszowego. Rok później papież spotkał się z młodymi ponownie, tym razem z okazji Międzynarodowego Roku Młodzieży ogłoszonego przez ONZ. I tak od 1986 roku młodzież gromadzi się w każdą Niedzielę Palmową w swoich diecezjach, by razem ze swoim biskupem świętować wiarę w Jezusa.

Ponadto, co dwa lub trzy lata, ŚDM przyjmują wymiar międzynarodowy – na to spotkanie młodych i ich biskupów z całego świata przyjeżdża również papież. Takich spotkań odbyło się już 12, a pierwsze odbyło się w Buenos Aires w 1987 roku, ostatnie zaś w Rio de Janeiro w 2013 roku. Tam właśnie, w tym słynnym brazylijskim mieście, na plaży Copacabana, papież Franciszek ogłosił, że kolejne – XXXI Światowe Dni Młodych, a 13 w wymiarze międzynarodowym – odbędą się w 2016 roku w Polsce, w Krakowie.

Piękna i bardzo twórcza jest idea ŚDM. Podjęli ją po Janie Pawle II kolejni papieże. Benedykt XVI niejako w testamencie od św. Jana Pawła II otrzymał proroczo zaproszenie na spotkanie z młodymi na kolejne ŚDM w Kolonii, w swojej ojczyźnie. Tutaj także wypowiedział do młodych słowa, które są opisem fenomenu Światowych Dni Młodzieży i ich inspiratora. „Przybywając dziś do Kolonii, by uczestniczyć razem z wami w XX Światowym Dniu Młodzieży, spontanicznie, ze wzruszeniem i wdzięcznością wspominam (...), tak bardzo ukochanego przez nas, Jana Pawła II, który miał tę świetlaną ideę, by zgromadzić młodzież całego świata i razem uwielbić Chrystusa, jedyne Odkupiciela rodzaju ludzkiego. Dzięki temu głębokiemu dialogowi, który rozwinął się pomiędzy Papieżem i młodymi w czasie ponad dwudziestu lat, wielu z nich mogło pogłębić swą wiarę i zacieśnić więzy wspólnoty, dając się porwać Dobrej Nowinie zbawienia w Chrystusie i głoszenia jej w wielu częściach świata. Ten wielki Papież potrafił zrozumieć wyzwania, które obecne są we współczesnych młodych, i potwierdzając swoją nadzieję w nich, nie przestawał wzywać ich, by byli odważnymi głosicielami Ewangelii i niez mordowanymi budowniczymi cywilizacji prawdy, miłości i pokoju.” (Ceremonia powitania - przemówienie Benedykta XVI, Kolonia - Poller Rheiwiesen, 18 sierpnia 2005).

Wyruszamy więc w drogę niejako w dwóch wymiarach. Podążając w kierunku Jasnej Góry, by spotkać się z Tą, która jest najdoskonalszym wypełnieniem Jezusowych błogosławieństw. Maryja w sposób najpełniejszy odpowiedziała bowiem na zaproszenie swego Syna do wędrowania drogą błogosławieństw. A to jest zadanie każdego i każdej z nas. Mówił o tym w 2002 roku w Toronto Jan Paweł II: „(...) Błogosławieństwa przedstawiają to, czym winien być chrześcijanin. Są one portretem ucznia Jezusowego, obrazem tych, którzy przyjęli Królestwo Boże i chcą, aby ich życie było zgodne z wymogami Ewangelii. Do tych ludzi przemawia Jezus, nazywając ich "błogosławionymi"(Przemówienie Jana Pawła II na spotkaniu z młodzieżą w Toronto 25 lipca 2002 r.).

Z drugiej strony będziemy pielgrzymować śladami dotychczasowych wielkich spotkań młodzieży z poszczególnymi papieżami, by zaczerpnąć z bogatej myśli Kościoła oraz zachęcać się wzajemnie do włączenia się w przygotowania i do uczestnictwa w Światowym Dniu Młodych, który wyznaczyła nam Opatrzność Boża w przyszłym roku w Krakowie.

Odnieśmy się na początku naszej drogi jeszcze raz do tajemnicy szczęścia, którą zawierają w sobie ewangeliczne błogosławieństwa. Są one przedstawione w dwóch wersjach – w wersji ewangelisty Mateusza oraz według ewangelisty Łukasza. Ponieważ bardziej dynamiczne wydają się nam słowa z ewangelii św. Łukasza, spróbujmy nad nimi trochę pomedytować.

Pewien człowiek kilkanaście lat temu wyjeżdżał autostopem do Francji do pracy w winnicy, mając w kieszeni parę dolarów. Po latach stał się właścicielem prężnie działającej firmy i obraca wcale nie małym kapitałem. Czy ten człowiek odebrał już swoją nagrodę? Czy musi oczekiwać głodu, by - według błogosławieństw- móc stać się szczęśliwym, skoro jego żona potrafi smacznie gotować dla niego, ich dzieci i gości? Czy to, że może teraz – nie bez satysfakcji – pokazywać zdjęcia z rodzinnego wypoczynku na Majorce, będzie musiał okupić smutkiem i łzami? Czy powinien odczuwać wyrzuty sumienia, ponieważ ludzie zazdroszczą mu sukcesu albo podziwiają jego zaradność? Zatrudnia kilkudziesięciu ludzi, którzy mogą dzięki temu utrzymać swoje rodziny, przeznaczają spore sumy na działalność charytatywną oraz – o ile można to z boku ocenić – bardzo dojrzałe i solidnie podchodzi do spraw swojej wiary i swojej rodziny.

Inny człowiek, który studiował teologię, teraz jest sfrustrowany, bo zarabia tyle, że nie jest w stanie utrzymać rodziny. Czy może się uznać za tego, do którego należy Królestwo Boże? Nie potrafi się odnaleźć w dzisiejszym świecie, ponieważ nie jest operatywny, przebojowy, dyspozycyjny i przegrywa zwykle z tymi, którzy skończyli dwa fakultety, opanowali języki i wypracowali sobie pozycję. Czy z tego powodu, że przeżywa gorycz i że odpada w różnych rankingach, może czuć się adresatem obietnic Jezusa, że będzie syty i szczęśliwy? Czy rzeczywiście pierwszego dotyczy „biada”, bo dojeżdża do pracy błyszczącym mercedesem, a drugiemu Bóg „błogosławi”, ponieważ codziennie wstaje wcześniej, by dotrzeć do pracy zatłoczonym autobusem MPK? Pracują i starają się przecież równie intensywnie, żaden się nie oszczędza, obaj chodzą co niedziele do kościoła i raczej codziennie odmawiają pacierz. Który ma bliżej do Królestwa Niebieskiego? Bóg to wie. Takie pytania nie mają sensu tak długo, jak długo będą nam służyły do oceniania życia innych ludzi.

Ewangeliczne błogosławieństwa i biada mają sens i wnoszą coś w nasze życie, jeśli przeniesiemy uwagę i stosowanie ich z innych na siebie samych. Słowa Jezusa są zawsze Dobrą Nowiną. To nie jest tak, że dzieli On ludzi na dwie przeciwstawne grupy, i do jednej mówi: „błogosławieni jesteście”, a do drugiej: „biada”. Jedno i drugie odnosi się do każdej i każdego z nas, do mnie. Bo w każdym z nas jest człowiek Boży, tęskniący za Bogiem i pragnącym Go kochać i w każdym z nas jest stary człowiek, zbuntowany przeciwko Bogu. To prawda, że jeśli jestem w łasce uświęcającej, to ten Boży człowiek we mnie dominuje, a jeśli jestem zanurzony w grzechu, to dominuje we mnie człowiek stary. Póki jednak jestem na tym świecie, wciąż jest we mnie i ten pierwszy człowiek, i ten drugi. Dlatego do mnie odnosi się zarówno „błogosławiony jesteś”, jak i owo „biada ci”.

Błogosławieni jesteście wy, którzy teraz głodujecie, albowiem będziecie nasyчени – chyba że się wam nie chce pracować, a to już coś innego. I biada wam, którzy teraz jesteście syty, albowiem głód będziecie cierpieć – czyli biada wam, którzy nie jesteście głodni Boga. Biada wam, którzy za cenę waszego przesylenia i większej sumy na koncie, krzywdzicie swoich bliźnich (może pracowników) i macie twarde serca dla ludzkiej biedy, bo wszystkich traktujecie jako nieudaczników i leniów.

Niektórzy postępują w życiu jak owa kobieta z bajki Ezopa. Miała ona jedną kurę, która była jej radością, ponieważ codziennie znosiła jedno jajko. Wtedy kobieta pomyślała, czy jeśli da jej podwójną porcję jedzenia, ta zniesie dla niej każdego dnia dwa jajka? Jak pomyślała, tak zrobiła. Lecz kura stawała się coraz grubsza i w końcu całkiem przestała znosić jajka. Jaki z tej bajki morał? Żeby być szczęśliwym należy zachować umiar, żeby można było rozwinąć skrzydła – oczywiście skrzydła duszy.

Błogosławieni jesteście wy, którzy teraz smucicie się i płaczecie nad swoimi grzechami, aby się z nich nawrócić. Którzy smucicie się królowaniem zła i grzechu, i niesprawiedliwości w ludzkich sercach i świecie – a chcecie temu światu przynieść trochę Bożej prawdy i miłości. I biada wam, którzy teraz się śmiejecie i nie przejmujecie się ani grzechem własnym, ani niesprawiedliwością i biedą, i złem jakich zaznają wasi bliscy i inni, żyjący obok was. Biada wam, którzy potraficie nie przejmować się samotnością waszych dzieci, którzy potraficie spokojnie patrzeć, nawet na to, że wasze dzieci schodzą na złe drogi i jeszcze się tym chlubicie. Cieszysz się, bo zapewniłeś swemu dziecku dobrą szkołę, najlepszego korepetytora, liczne i popularne zajęcia pozalekcyjne, najlepsze markowe ubrania i zdrowe wyszukane jedzenie? Może jednak twoje dziecko nie jest takie szczęśliwe, jak ci się wydaje.

Kiedyś pewien kapłan, po wypadku samochodowym, znalazł się w szpitalu. Odwiedzali go różni ludzie, zwłaszcza młodzi. Podczas rozmów padały różnorakie pytania i skargi: „Proszę księdza, dlaczego moi rodzice kłócą się ciągle o byle co...Dlaczego ze mną nie rozmawiają, tylko do mnie mówią albo krzyczą...Dlaczego ciągle stawiają wymagania, a sami tego nie robią...Dlaczego dla taty ważniejszy jest sport i polityka,

niż moje problemy wieku dorastania...?” Przysłuchiwał się temu przez parę dni, leżący na łóżku obok mężczyzna, który był ojcem trójki dzieci...Któregoś wieczoru powiedział do księdza: „Jestem zaskoczony, że ta młodzież mówi księdzu takie rzeczy...Ja tego nie słyszę od moich dzieci”. „Daje im pan do tego okazje? – zapytał ksiądz. Nastąpiła długa cisza.

Tak więc Pan Jezus nie kanonizował bezkrytycznie wszystkich biednych, głodnych, płaczących i prześladowanych. Nie demonizował też wszystkich bogatych, sytych, śmiejących się i chwalonych. Podział jest o wiele głębszy i subtelniejszy.

Pewien dziennikarz, deklarujący się jako niewierzący, napisał artykuł zatytułowany „Życie jest wielkim rebusem i niestety, nie ma dość czasu, by odkryć jego sens”. Jesteśmy w tej uprzywilejowanej sytuacji, że wybraliśmy się na pielgrzymkę. To bardzo dobry czas, by się swemu życiu lepiej przyglądać. Zadać sobie parę ważnych pytań. Jak w moim sercu przebiega owa granica, pomiędzy: „błogosławiony jesteś”, a „biada ci”? Jakie jest kryterium, które pozwoli mi tę granicę rozpoznać?

Posłużmy się - tak jak Jezus w ewangeliach – przypowieścią. Dwa muły wracały z targu ze swoim panem. Jeden muł niósł gąbki, a drugi muł niósł sól. Ten obciążony solą szedł z dużym trudem, zlany potem z powodu ciężaru soli. Drugi zaś muł, niosący na grzbiecie gąbki, wesoło podskakiwał i żartował ze strudzonego towarzysza. Docierają do rzeki. Oba muły wchodziły do wody. I co się dzieje? Ten niosący gąbki zaczyna czuć, że ładunek staje się coraz cięższy, aż w końcu tonie pod ciężarem nasiąkniętych wodą gąbek. Muł zaś niosący sól, stopniowo czuł się coraz lżejszy, ponieważ sól powoli rozpuszczała się w wodzie, aż wreszcie muł znalazł się bezpieczny na drugim brzegu rzeki, wolny od wszelkiego ciężaru. Wyobraźmy sobie osobę, która spotkawszy owe muły, nim one dotarły do rzeki, zawołałaby do muła niosącego sól: „Błogosławiony jesteś, ponieważ ci trudno i ciężko”, a do drugiego muła, niosącego gąbki powiedziałaby: „Biada ci, nieszczęsny jesteś, który się śmiejesz i jesteś taki beztrojski”. Postronny obserwator, człowiek patrzący na życie kategoriami tylko tego świata, mógłby powiedzieć, że te słowa są obelgą albo kpiną. Ci chrześcijanie są nienormalni. A jednak człowiek, przychodzący od strony rzeki – a dla nas jest nim Chrystus – który wie, co jest na drugim brzegu, doskonale rozumie te słowa, albowiem zna już przyszłość tych mułów.

To dlatego Jezus, wiedząc, jaką drogę mamy przed sobą, mówi: „Błogosławieni jesteście ubodzy, smutni, głodni, czyści, miłosierni, sprawiedliwi, prześladowani, a biada wam bogacze, syty, weseli, chwaleni”. Szczęście nie jest teraz ściśle związane z pytaniem o sukces, zdrowie, pieniądze, powodzenie, znaczenie. Jest to pytanie związane z ukierunkowaniem naszych pragnień serca, jest to problem wyboru. Nikt nie jest szczęśliwy, dlatego, że jest biedny, chory, głodny czy prześladowany. Ale jest też wielu takich, którzy są zdrowi, bogaci, syty, bezpieczni, mający znaczenie i prestiż, a są pełni goryczy, pustki i samotności – nieszczęśliwi.

„Szczęście ma imię i oblicze” – te słowa Benedykta XVI odnoszą się głównie do Jezusa z Nazaretu, ale ponieważ jesteśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo, dlatego nasze szczęście wyraża się również w relacjach do naszych bliskich. Szczęście ma imię i oblicze naszych bliskich – męża, żony, dzieci, rodziców, przyjaciół. Papież Franciszek jeszcze niejako doprecyzował tę definicję szczęścia, mówiąc w Domu św. Marty: „Ktoś powie: szczęście płynie z rzeczy i dlatego chce się mieć najnowszy model smartfona, najszybszy skuter, samochód, który przyciąga uwagę. A ja wam mówię (...) – radość nie rodzi się, nie bierze się z posiadanych rzeczy”(Franciszek, Watykan, Dom św. Marty, 6 lipca 2013 r.).

Żeby zakosztować bowiem szczęścia obiecanego przez Jezusa, trzeba spojrzeć na swoje życie od strony rzeki, czyli od tej strony, do której zmierzamy. Trzeba spojrzeć na nasze życie oczami zmartwychwstałego Jezusa. Jak powie ksiądz Jan Twardowski: „Zacznij od Zmartwychwstania/ od pustego grobu (...)/ od słońca/ ewangelie czyta się jak hebrajskie litery/od końca” (ks. Jan Twardowski, Od końca). Tak też trzeba czytać błogosławieństwa – od końca. Wtedy stają się obietnicami, a nie przykazaniami nie do uniesienia. Tam, gdzie są przecinki w błogosławieństwach, tam przechodzi Krzyż Chrystusa. Przed ukrzyżowaniem, jest to wszystko nie do uniesienia, jak sól na grzbiecie muła. Ale jest to droga do szczęścia i to nie dopiero w przyszłym życiu. Już tutaj razem z Jezusem przechodzimy bowiem w nowe życie i odkrywamy, że „szczęście ma imię i oblicze” – Jego Imię i Jego Oblicze.

DZIEŃ DRUGI

INTENCJA: Polecamy małżeństwa i rodziny

BÓG Z PRZODU, CZYLI O ZWIERCIADLE BOGA

I rzekł [Mojżesz]: «Spraw, abym ujrzał Twoją chwałę». [Pan] odpowiedział: «Ja ukazę ci mój majestat i ogłoszę przed tobą imię Pana, gdyż Ja wyświadczam łaskę, komu chcę, i miłosierdzie, komu Mi się podoba». I znowu rzekł: «Nie będziesz mógł oglądać mojego oblicza, gdyż żaden człowiek nie może oglądać mojego oblicza i pozostać przy życiu». I rzekł jeszcze Pan: «Oto miejsce obok Mnie, stań przy skale. Gdy przechodzić będzie moja chwała, postawię cię w rozpadlinie skały i położę rękę moją na tobie, aż przejdę. A gdy cofnę rękę, ujrzysz Mnie z tyłu, lecz oblicza mojego tobie nie ukazę» (Wj 33, 18-23)

Do kancelarii parafialnej przyszła młoda kobieta. Potrzebowała metryki chrztu. Wkrótce miała wychodzić za mąż. Podczas wypisywania dokumentu, kapłan czytał głośno dane, by potwierdzać, czy wszystko się zgadza. W pewnym momencie na twarzy kobiety pojawiło się zakłopotanie, a później zdenerwowanie. „Przepraszam – powiedziała – ale mój ojciec inaczej się nazywa i ma inaczej na imię.” Kapłan stwierdził jednak, że musi wypisać takie dane, jakie są zapisane w księdze metrykalnej. Kobieta poszła do domu. Po kilku dniach wróciła. To była już inna osoba. Skurczona w sobie, załężniona, z zapłakanymi oczami, niepodobna do siebie. W tym czasie zadzwoniła do mamy, która od kilku lat mieszkała poza granicami Polski. Przez telefon, po 24 latach życia, ta młoda kobieta dowiedziała się, że ktoś inny jest jej ojcem. Ten, którego znała jako ojca, jej ojcem nie jest. Załamało się życie tej dziewczyny. Termin ślubu przesunięto.

Kto jest moim ojcem? Jak on wygląda? Gdzie on teraz jest? To ważne pytania, na które musiała sobie teraz na nowo odpowiedzieć ta kobieta. Ponieważ te pytania pomogą jej zrozumieć siebie samą, kim ona jest? W swoim czasie media podawały informację, że klinika w Niemczech, podejmująca procedurę in vitro, ma wydać Sarze P. dane jej biologicznego ojca, czyli dawcy spermy. Nosił on nr 261. Wyrok sądu w Hamm postanawiał, że dziewczyna ma prawo dowiedzieć się, kto jest jej biologicznym ojcem.

W każdym człowieku jest głębokie pragnienie, aby znać Ojca. W Ewangelii słyszymy przejmujące słowa apostoła Filipa: „ Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy” (J 14,8). Zobaczyć Ojca, zobaczyć Boga. W przeczytanym wcześniej fragmencie z Księgi Wyjścia widzimy Mojżesza, który wyraża niezwykłą prośbę, skierowaną do Boga. „Chcę oglądać Twoje oblicze”. Według przekonań izraelitów, człowiek nie może zobaczyć Boga, ponieważ wtedy musiałby niechybnie umrzeć. Grzeszny człowiek nie może być blisko świętego Boga. Jednak Pan Bóg obiecał Mojżeszowi, że jednak Go będzie mógł zobaczyć, ale na Bożych warunkach. „*«Oto miejsce obok Mnie, stań przy skale. Gdy przechodzić będzie moja chwała, postawię cię w rozpadlinie skały i położę rękę moją na tobie, aż przejdę. A gdy cofnę rękę, ujrzysz Mnie z tyłu, lecz oblicza mojego tobie nie ukazę»*” (Wj 33, 23). Mojżesz będzie mógł zobaczyć Boga z tyłu.

Co to znaczy, widzieć kogoś z tyłu? Warto się nad tym zastanowić. Niejednokrotnie, podczas naszych spacerów, widząc kogoś, idącego przed nami, mamy wrażenie, że jest to znajoma osoba. Przyspieszamy kroku, może głośniejszymi głosami wołamy imię tej osoby. Tymczasem ona nie reaguje, a gdy już się odwróci, okazuje się, że to nie jest osoba, o której myślimy. Pomyliliśmy się. Patrząc na kogoś z tyłu, ryzykujemy, że się pomylimy. To samo może się nam przytrafić w naszym duchowym życiu, w naszym odniesieniu do Pana Boga. „Zobaczyć Boga z tyłu”, to może znaczyć, że możemy się pomylić, że za Boga weźmiemy kogoś innego – podobnego, ale innego. Możemy się znaleźć w podobnej sytuacji, jak owe kobiety, które nie znały swoich prawdziwych ojców.

Wydaje się, że są trzy podstawowe powody, z racji których, możemy sobie Pana Boga fałszywie wyobrażać. Pierwszy powód wynika z prawdy, że Bóg jest tajemnicą. Bóg jest święty. Bóg jest transcendentny – jak mówi teologia – czyli jest całkowicie poza naszym zasięgiem umysłowym, wyobrażeniowym, intuicyjnym. Jest wykraczający poza nasze doświadczenie i poznanie. Irański film, „Kolory rajy”, przedstawia historię niewidomego chłopca, który poznaje świat poprzez dotyk. Czujemy jednak, że jemu nie tylko o to chodzi. Pod koniec filmu dowiadujemy się, że umierająca mama, powiedziała chłopcu, że nie będzie on sam, że chociaż ona odchodzi, to bardzo blisko niego jest sam Pan Bóg. On wyciąga do chłopca rękę. Ten musi tylko tę rękę odnaleźć i mocno jej się uchwycić. I rzeczywiście, ten chłopiec poznaje świat poprzez dotyk, jak niewidomy, ale rozumiemy już, że tak naprawdę, to on szuka ręki Pana Boga.

„Kolory rajy” – poznawać kolory poprzez dotyk. To piękna metafora naszej sytuacji. Jesteśmy trochę jak ślepi, którzy po omacku szukają kolorów Boga, Jego twarzy. Zawsze nieadekwatnie, ponieważ jesteśmy

tylko ludźmi. Pewien człowiek powiedział: „Widzę mrówkę i zastanawiam się, co ona wie o mnie – człowieku?” Co może mrówka wiedzieć o mnie? Mrówka nie jest w stanie pojąć tego, co to znaczy być człowiekiem, bo jest tylko mrówką. Jeszcze większa przepaść dzieli mnie i Pana Boga, który jest tajemnicą i świętością. Nie jestem w stanie Go objąć swoim rozumem.

Jeśli wydaje mi się, że już poznałem Boga, że już Go rozumiem, to tak naprawdę stworzyłem sobie jakieś wyobrażenie Boga, które bogiem nie jest. Gdyby się udało człowiekowi zamknąć Boga w ludzkich pojęciach, to taki Bóg nie byłby Bogiem. Bóg jest nie do pojęcia. Bóg nie mieści się w mojej głowie. Nigdy Go nie poznam do końca na tym świecie, a i w wieczności, będąc z Nim „twarzą w twarz”, wciąż będę Go poznawał bez końca. To jest pierwszy powód, dla którego czasem się mylimy, wyobrażając sobie Pana Boga „z przodu”. Bardzo ważne jest, żeby się zgodzić na to, że Bóg jest tajemnicą, że nie wszystko będę rozumieć. Ja nie zrozumieję nigdy Boga w pełni, ale ważne jest, że On rozumie mnie. To jest podstawa mojej relacji z Nim, którą chcę budować, a raczej On ze mną. Bóg jest tajemnicą, jest święty i dlatego będzie mnie zaskakiwał. Pozwolić się Bogu zaskakiwać, pozwolić Mu na niespodzianki, które będzie robił w moim życiu – to znak, że mój Bóg jest żywy, prawdziwy, że ciągle Go szukam i poznaję.

Podczas Światowych Dni Młodzieży wielu młodych zaczyna głębiej zastanawiać się nad swoją wiarą, nad swoją relacją do Boga. Wielu odkrywa, spotykając się z innymi młodymi, którzy wierzą, że poszukiwania Boga są wspólne dla większości ludzi. Dzielenie się swoją wiarą ubogaca drugiego, pokazuje, że na Chrystusa można patrzeć trochę inaczej, że duże znaczenie ma tutaj także kontekst kulturowy i społeczny. Dla niektórych młodych z Polski było wielkim odkryciem, podczas spotkania w Sydney, że mogli rozmawiać z katolikami z Indii. Dotychczas nie myśleli, że tam żyją katolicy. Sądzieli, że jedynymi katolikami są siostry od Matki Teresy i że żyją tylko w Kalkucie.

Drugi powód, dla którego czasem dziwnie sobie Pana Boga mogę wyobrażać, związany jest z moją historią życia. W pierwszym przypadku sprawa dotyczyła mojego umysłu, tutaj sprawa dotyczy bardziej moich uczuć. Moje uczucia mogą mnie zwieść, mogą mnie oszukać. Pan Bóg zaryzykował i wciąż ryzykuje, pragnąc mnie pociągnąć do siebie więzami ludzkimi, zwłaszcza poprzez rodziców i najbliższych. A niestety, wiemy i doświadczamy na co dzień, jak te relacje z najbliższymi niejednokrotnie wyglądają. Bywa różnie. Bóg bardzo ryzykuje, ucząc nas o sobie poprzez innych. Widocznie jednak to jest najlepszy z możliwych sposobów.

Pewien kapłan odwiedził podczas wakacji rodzinę swojej siostry. Siostrzeniec widząc wujka, zaproponował mu grę w szachy. Wujek się zgodził i powiedział do chłopca, który był wówczas po szóstej klasie: „Dobrze, przygotuj wszystko na szachownicy, zaraz przyjdę”. Chłopiec ustawił pionki i figury na szachownicy i woła wujka. Kapłan wchodzi do pokoju i jest nieco zdziwiony, patrząc na szachownicę. „Filip – mówi do siostrzeńca – mieliśmy grać w szachy”. Chłopiec zaskoczony odpowiada, że przecież wszystko przygotował. „Ty przygotowałeś wszystko do gry w warcaby, a nie w szachy” – komentuje wujek. Kapłan zaczął rozumieć, o co może chodzić i zadał chłopcu pytanie: „Filip, kto cię uczył grać w szachy?”. „Koledzy w klasie” – odpowiedział Filip. „Oni nauczyli cię grać w warcaby, nie w szachy” – stwierdził wujek. I dalej tłumaczył siostrzeńcowi: „Nauczyli cię grać w warcaby, myśląc, że uczą cię gry w szachy. Owszem, gra w szachy jest trochę podobna do gry w warcaby – jest ta sama szachownica, te same figury i pionki, ale są inne reguły gry, trochę trudniejsze, ale można się ich nauczyć”.

Nam się często wydaje, że my wiemy, na czym polega miłość - tak jak jej nas nauczono. Bywa, że nas jej źle nauczono. Dopiero w konfrontacji z prawdziwą miłością możemy zobaczyć, że często ta nasza miłość jest skrzywdzona, poraniona, bardzo chora. Podobnie możemy myśleć o Bogu, który jest Miłością. Może nam się wydawać, że Bóg jest taki, o jakim mówił mi - niekoniecznie nawet poprzez swoje słowa – ale głównie poprzez swoją postawę, mój ojciec, mama, proboszcz, katecheta. Dlatego powinniśmy odkryć, że o Panu Bogu myślimy także poprzez pryzmat naszych uczuć, często skrzywdzonych, poranionych, po prostu mniej czy bardziej chorych, a także poprzez doświadczenia wynikające z naszych relacji z bliskimi, które także bywają niejednokrotnie toksyczne.

Jesteśmy tak stworzeni, że w naszym życiu – jak to mówi Jacek Pulikowski – ważne są cztery miłości. Poprzez pryzmat tych miłości patrzymy na Pana Boga. Pierwsza to miłość mamy, druga to miłość taty, trzecia to miłość mamy i taty razem, czyli miłość rodziców jako małżeństwa. Czwarta miłość to miłość Boga. I ta

czwarta miłość często jest wyobrażana w naszym sercu, w naszym umyśle poprzez tamte trzy wcześniejsze. One są wymienione w kolejności chronologicznej, tak jak je doświadczamy od poczęcia.

Warto sobie postawić pytania, o moje relacje z mamą. Jak mama kochała? Pewna studentka wybuchła niespodziewanie gniewem wobec swojej mamy. Sama była zaskoczona. Ale po pewnym czasie, także przy pomocy psychologa, zrozumiała, że podświadomie była zła na mamę z tego powodu, że mama nie pozwoliła swemu mężowi, a jej ojcu, być prawdziwym mężczyzną w ich domu. Często go strofowała, ośmieszała przy innych, wyręczała w wielu zadaniach, nie szanowała. Z czasem ojciec usunął się w samotność i popadł w alkoholizm. Czasem miłość naszych mam może być tak totalna i naiwna, że ubezwłasnowolni naszą samodzielność i odpowiedzialność. Pewien biskup opowiadał następującą anegdotę. Niektórzy złośliwie mówią, że coraz więcej w Polsce pojawia się dorosłych chłopców, którzy nie opuścili swego domu. Złośliwość polega na tym, że każdy z nich mógłby pretendować do roli mesjasza. Spełniają bowiem wszystkie warunki – oczywiście w oczach mamy: mieszkają z mamą do trzydziestki, pracują w firmie ojca, jak Jezus i jeśli już coś zrobią, to cud.

Warto dziś pomyśleć także o mojej relacji do taty? Jak kochał tato? Do ośrodka wychowawczego dla chłopców przyszła grupa studentów z kapłanem, aby nawiązać relacje z wychowankami. Na początku spotkania ksiądz mówi: „No, to pomódlmy się na wstępie do naszego Ojca, który jest w niebie”. Wtedy jeden z lokatorów powiedział półgłosem do kolegi: „A ten Ojciec, to też pije?”. Takie miał ów młody mężczyzna doświadczenie swego ojca – ojca pijaka, nieudacznika. Jeśli ten Ojciec w niebie jest taki, jak mój tato, to ja dziękuję za takiego ojca – często mówią młodzi ludzie. Nawet jeśli tak nie mówią, to w sercu jest zakodowane od lat, przyklejone negatywne odniesienie do ojcostwa. Trudno jest wtedy dobrze myśleć o Bogu jako Ojcu i o Bogu w ogóle. Niejednokrotnie wypowiedane w gniewie czy bezsilności słowa do ojca ziemskiego: „nie chcę cię znać, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, nie chcę nic od ciebie, o nic nie będę cię prosił”, bardzo często zamykają później osoby na relację z Bogiem Ojcem. Trzeba o tym pomyśleć, ponieważ nierozwiązane problemy w relacji do ojca ziemskiego, bardzo rzutują na relacje z Bogiem. Te trudne więzi porządkuje się i uzdrawia poprzez przebaczenie. To osobny temat, niemniej – jeśli chcemy mieć dobrą relację z Bogiem – powinniśmy zmierzyć się z rzeczywistością przebaczenia naszym winowajcom.

Warto także pomyśleć o miłości moich rodziców wobec mnie. Czy ich wzajemna więź budziła we mnie poczucie bezpieczeństwa i wartości, czy też rodziła zagrożenie i powodowała niepokój? Dzisiaj w Polsce, statystycznie, co kilkanaście minut, rozwodzi się małżeństwo. Jak my mamy doświadczać miłości Boga, jak mamy wzrastać w obfitości, kiedy rozsypują się małżeństwa? To jest poważny dramat tysięcy dzieci i młodych. Więcej. Nawet jeśli by rodzice rozwiedli się na łożu śmierci, mając po sto lat, to ja – pozostający jeszcze na ziemi – otrzymuję wtedy w moje serce potężny cios, który tworzy okrutną ranę. Ja nie chcę wybierać między tatą a mamą – ja chcę ich wzajemnej i integralnej miłości. Ja mam prawo do ich wzajemnej miłości małżeńskiej. Przy tej okazji podziękujmy Bogu za rodziców, którzy wciąż wiernie żyją w błogosławionych, sakramentalnych związkach.

Tak więc moja historia życia, moje trudne doświadczenia w relacjach z najbliższymi mogą utrudnić mi właściwe rozumienie Boga, wyobrażanie Go sobie, widzenie Go w sposób właściwy „z przodu”. Dla ludzi wierzących, pocieszające jest to, że nawet – jeśli te wcześniejsze trzy miłości zawiodły – ta czwarta – Boża miłość – jest w stanie uzdrowić i wypełnić wszystkie braki tamtych pozostałych.

Pozostaje jeszcze trzeci powód, dla którego czasem trudno jest nam o właściwy obraz Boga. Chodzi o historię mojego grzechu. Słowo Boże mówi: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą” (Mt 5, 8). Tu chodzi bardziej o moją wolę, która może wybierać także grzech, a nie Bożą wolę. Według tych słów Jezusa, Boga widzi dobrze ten, kto ma czyste serce. Serce zanieczyszczone, zniekształcone przez grzech coraz mniej widzi Boga, aż w końcu całkowicie grzech zasłoni Boże oblicze.

Pamiętamy, że na początku historii biblijnej Adam i Ewa zostali obdarowani, pełnym cudownych drzew i owoców ogrodem, a Pan Bóg jeszcze ich ostrzegł, by uważali na jedno drzewo, ponieważ jego owoce prowadzą śmierć. Jaki wspaniały obraz Pana Boga – kochający i troskliwy Ojciec – nie dość, że ich obficie obdarował, to jeszcze ostrzegł przed niebezpieczeństwem! Co się dzieje po popełnieniu przez nich grzechu? Ukryli się w zaroślach przed Bogiem. Czy Bóg się zmienił po grzechu człowieka? Nie. Bóg jest zawsze tak samo kochający. Zmienił się obraz Boga w człowieku. Grzech zniekształca Boży obraz w duszy człowieka. Owoce grzechu zabrudziły serce człowieka w ten sposób, że nasze serce zaczyna źle o Bogu myśleć. To nie

Bóg się zmienia, zmienia się serce człowieka. Wciąż jest podobnie przez wieki. Bardzo często grzech sprawia, że człowiek na początku czuje się nieswojo przed Bogiem, później zaczyna Boga unikać, aż w końcu przestaje się z Nim spotykać i widzieć Go.

O. Daniel Ange, wielki przyjaciel młodych, mawiał, iż kiedy widział czasem po latach młodego człowieka, który wcześniej bardzo się angażował w życie Kościoła, a dziś twierdzi, że w Boga nie wierzy, to zadaje mu – jeśli to jest mężczyzna – pytanie: „Czy to jest blondynka czy brunetka?”. I najczęściej trafia w sedno. Tu nie tyle chodziło o Pana Boga, ile o niemoralne życie tej osoby, o nieradzenie sobie z grzechem. W takiej sytuacji uwikłania w grzech i zanieczyszczonego serca, po co angażować się w relację z Jezusem i włączać się w życie Kościoła? To będzie tylko przypominać o tym, że ktoś żyje w grzechu. Lepiej więc się asekurować i deklorować, że się w Boga nie wierzy albo wymyślić sobie Boga, który będzie przyzwalał na grzech. Ale taki Bóg jest kłamstwem.

Mamy oto trzy powody, dla których trudno jest o prawdziwy i właściwy obraz Boga: prawda, że Bóg jest tajemnicą, historia mojego życia oraz historia mojego grzechu. To wszystko sprawia, że moje serce nie jest do końca czyste i wolne, i w związku z tym, bardziej lub mniej może mieć zafałszowany obraz Boga. Czy jest więc jakieś rozwiązanie? Oczywiście. Bóg nas nie zostawia samych w naszych trudnościach. Nie skazuje nas na ryzyko patrzenia na Niego „z tyłu”, z niebezpieczeństwem, że Go źle rozpoznamy. *Gdy jednak nadeszła pełnia czasu, zesłał Bóg Syna swego, zrodzonego z niewiasty, zrodzonego pod Prawem, aby wykupił tych, którzy podlegali Prawu, abyśmy mogli otrzymać przybrane synostwo* (Ga 4, 4-5).

Najpierw Maryja, nosząca w swoim łonie Wcielone Słowo Boga, kontemplowała sercem Boże oblicze. Wyśpiewany przez Nią hymn Magnifikat, jak w zwierciadle ukazuje obraz Boga, w jakiego wierzyła Niepokalana Dziewica. Matka Jezusa wyśpiewuje pieśń, w której wychwala Boga, który dla Niej jest Panem, Zbawicielem, jest Święty, Wszechmocny i Miłosierny. Takiego Boga ogląda swym sercem Maryja. Warto się przyglądać Bogu Maryi, ponieważ jest On Bogiem, jakiego ukazuje nam osoba wyjątkowo i niepowtarzalnie z Nim związana.

Ten narodzony z Niewiasty Syn Boży był jednocześnie Synem Człowieczym i przebywał pośród swego ludu. Wybrał uczniów, którzy codziennie mogli Mu towarzyszyć, patrzeć, jak żyje, słyszeć, co mówi. Mimo takiej bliskości wciąż mieli kłopoty, by uwierzyć w Jego mesjańskie posłannictwo. I oto apostoł Filip wypowiada przejmującą prośbę, jaką wypowiedział już kiedyś innymi słowy Mojżesz: „Panie, pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy. Odpowiedział mu Jezus: Filipie, tak długo jestem z wami, a jeszcze Mnie nie poznałeś? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca” (J 14, 8-9). Jezus spełnia prośbę Filipa i spełnia prośbę Mojżesza, i spełnia prośbę oraz pragnienie każdego człowieka – zobaczyć twarz Boga! Rewelacja, objawienie! Jest Nim Jezus! Kto widzi Jezusa, kto patrzy na Niego widzi twarz Boga, widzi Boga „z przodu”! Już nie musi się mylić, już wie, gdzie i jak szukać Boże Oblicze.

Tak o tym pisał do młodych w orędziu na XIV Światowy Dzień Młodzieży papież Jan Paweł II: „Boga nikt nigdy nie widział. Jednorodzony Bóg, który jest w łonie Ojca, [o Nim] pouczył” (J 1, 18). Czy zatem wystarczy poznać Syna, aby znać Ojca? Filipa nie łatwo jest o tym przekonać: "pokaż nam Ojca" - prosi. Dzięki jego natarczywości otrzymujemy odpowiedź, która przerasta nasze oczekiwania: "Filipie, tak długo jestem z wami, a jeszcze Mnie nie poznałeś? Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca" (J 14, 8-9). Od chwili wcielenia istnieje ludzkie oblicze, w którym można ujrzeć Boga: "Wierzcie Mi, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie" (J 14, 11) - mówi Jezus już nie tylko do Filipa, ale do wszystkich, którzy uwierzą. Od tamtej pory, kto przyjmuje Syna Bożego, przyjmuje i Tego, który Go posłał (por. J 13, 20)" (Jan Paweł II, Orędzie na XIV ŚDM).

Odkryć to Boże oblicze, wpatrywać się w nie jest tym, czego najbardziej pragniemy. Samo to wystarczy. Dlaczego wystarczy zobaczenie oblicza Boga, jak mówi apostoł Filip: „Pokaż nam Ojca, a to nam wystarczy”? Warto przywołać tu komentarz, który podał podczas pewnych rekolekcji o. Augustyn Pelanowski, paulin. Co chciał powiedzieć Filip, mówiąc „wystarczy”? W języku greckim słowo to brzmi: „harkeo” i znaczy: oddalić śmierć, przyjść z pomocą, być szczęśliwym. Pokaż nam Ojca, a to wystarczy, czyli oddali się śmierć z naszego życia, lęk przed umieraniem. Pokaż nam Ojca, a to wystarczy, czyli przyjdzie siła do tego, by żyć, by nie wycofywać się z odpowiedzialności za swoje życie. Pokaż nam Ojca, a to wystarczy, czyli uczyni mnie ta relacja szczęśliwym.

To tutaj ma swoje źródło piękna definicja szczęścia Benedykta XVI – „Szczęście ma imię i oblicze – Jezus Chrystus z Nazaretu”. To dlatego owe dwie dziewczyny, opisane wcześniej, które nie znały swoich biologicznych ojców, miały problem ze swoją tożsamością, ze swoim życiem. Nie znały ojca ziemskiego – nie chciało im się żyć, nie miały sił do życia i nie były szczęśliwe – dlatego tak bardzo chciały poznać swego ojca. Taka jest siła w obliczu ojca ziemskiego, w relacji z nim. Jaka więc musi być moc w obliczu Ojca Niebieskiego, który jest Ojcem ojców, jedynym źródłem ojcostwa. Tak ważna jest znajomość tego oblicza, wpatrywanie się w to oblicze, więź osobista z Bogiem, słuchanie Jego głosu. Wtedy chce się żyć, wtedy ma się siłę do życia, wtedy jest się szczęśliwym.

Nawet jeśli mój ziemski ojciec nie był w porządku. Nawet jeśli moja ziemska matka nie umiała mnie kochać. Nawet jeśli moi rodzice się rozwiedli, zostawili mnie. Jest jeszcze inna siła miłości, która to wszystko przerasta. Jest tak potężna i dobra, że może uleczyć wszystkie rany mojego serca. Dlatego tak ważne jest serce czyste. Serce wolne od stereotypów i fałszywych opinii na temat Pana Boga, serce oczyszczone ze zranień i nieuporządkowania emocjonalnego, serce wolne od grzechu. Dlaczego? Ponieważ takie serce ogląda Boga. Już teraz, na ziemi. A temu, kto widzi Boga, chce się żyć, jest szczęśliwy, błogosławiony.

DZIEŃ TRZECI

INTENCJA: Modlimy się o wierność Bożym przykazaniom i Kościołowi Chrystusowemu

LABORATORIUM WIARY, CZYLI O ZWIĄZKU BOGA Z CZŁOWIEKIEM

„Gdy Jezus przyszedł w okolice Cezarei Filipowej, pytał swych uczniów: «Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?» A oni odpowiedzieli: «Jedni za Jana Chrzciciela, inni za Eliasza, jeszcze inni za Jeremiasza albo za jednego z proroków». Jezus zapytał ich: «A wy za kogo Mnie uważacie?» Odpowiedział Szymon Piotr: «Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego». Na to Jezus mu rzekł: «Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie. Otóż i Ja tobie powiadam: Ty jesteś Piotr [czyli Skala], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego; cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie»” (Mt 16, 13-19).

Plac św. Piotra w Rzymie. Wieczorem 15 sierpnia 2000 r., czyli w dzień Wniebowzięcia NMP. Tłumy młodzieży zgromadzonej wokół Jana Pawła II, aby rozpocząć świętowanie Jubileuszu Młodych. Takich chwil się nie zapomina. Papież pozdrawia młodzież przybyłą z wszystkich zakątków świata. Następnie pyta młodych w swoim stylu: „Czego przyszłście tutaj szukać? (...) Albo lepiej: Kogo przyszłście tutaj szukać? Odpowiedź może być tylko jedna: Przyszłście szukać Jezusa Chrystusa. Jezusa Chrystusa, który jednak jako pierwszy przychodzi szukać was” (Jan Paweł II, *Plac św. Piotra, wtorek 15 sierpnia 2000 r.*).

I potem św. Jan Paweł II wypowiada tak przejmujące słowa, które czytane później w innym kontekście nie rezonują tak potężnie w sercach, ponieważ są jednocześnie bardzo proste i wydają się być oczywiste. Następca św. Piotra mówi do zgromadzonej przed nim młodzieży: „(...) Trzeba, aby wzrastała i umacniała się wasza wiara w Chrystusa. Tej wierze pragnę dać świadectwo wobec was, młodzi przyjaciele, na grobie Apostoła Piotra, którego z woli Bożej jestem następcą jako Biskup Rzymu. Dziś ja, jako pierwszy, pragnę powiedzieć wam, że wierzę mocno w Jezusa Chrystusa, naszego Pana. Tak, wierzę, i powtarzam, jak swoje własne, słowa Apostoła Pawła: „Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie”(Tamże.). Nastąpiła głęboka i przejmująca cisza, a potem burza oklasków. Przecież papież nie powiedział nic szczególnego – trudno sobie wyobrazić niewierzącego papieża - a jednak te słowa zabrzmiały w sposób mistyczny tego wieczoru w Rzymie, te słowa były jak odgłos potężnego dzwonu, który budzi wiarę i wskazuje jej źródła: „Dziś ja, jako pierwszy, pragnę powiedzieć wam, że wierzę mocno w Jezusa Chrystusa, naszego Pana.”

Światowe Dni Młodzieży są właśnie po to, aby nieustannie odnawiać i umacniać wiarę w Syna Bożego Jezusa Chrystusa. Owszem, są wielkim Festiwalem Młodości, gdzie radość i życie rozkwitają we wszystkich możliwych kolorach. Zasadniczo jednak chodzi o „laboratorium wiary”, jak nazwał Jan Paweł II serce człowieka, gdzie dokonuje się i ożywia owa niepowtarzalna więź człowieka z Jezusem. Dlatego też papież wybrał fragment Ewangelii mówiący o wydarzeniu spod Cezarei Filipowej, przytoczony na początku naszych

rozważań, jako tekst rozważania na wieczór podczas wielkiego sobotniego całonocnego czuwania pod gołym niebem, które poprzedzało niedzielną Eucharystię, kończąca Jubileusz Młodych. "Wy za kogo Mnie uważacie?". Jezus zadaje to pytanie swoim uczniom pod Cezareą Filipową. „Jakie jest znaczenie tego dialogu?” - pyta papież. I zaraz sam odpowiada: „To wydarzenie spod Cezarei Filipowej wprowadza nas niejako do "laboratorium wiary". Odsłania tajemnicę początku i dojrzewania wiary. Najpierw jest łaska objawienia: wewnętrzne, niewyraźne oddawanie się Boga człowiekowi. Za nią idzie wezwanie do udzielenia odpowiedzi. W końcu jest odpowiedź człowieka - odpowiedź, która odtąd będzie musiała nadawać sens i kształt całemu jego życiu.”(Tamże).

„Najpierw jest łaska objawienia” - mówi Jan Paweł II. Georg Friedrich Haendel mieszkał w Londynie i przechodził straszliwy kryzys twórczy. Jak sam opowiadał, był pogrążony w depresji. Końcem sierpnia 1741 roku wybrał się na spacer po Londynie. Nagle usłyszał śpiew sopranistki, dobiegający z jakiegoś okna. Zatrzymał się zauroczony i słuchał. Pieśń opowiadała o historii Izraela, o wędrowce przez pustynię, o oczekiwaniu na Zbawiciela. Ktoś śpiewał wersety Pisma świętego: modlił się śpiewając, śpiewał modląc się. Haendel opowiadał, że wtedy usłyszał głos Boga w tej muzyce. Pobiegł do domu i w nieco ponad dwa tygodnie (między 29 sierpnia, a 14 września) skomponował „Mesjasza”. Tak powstało słynne oratorium „Mesjasz”, w którym najbardziej znana jest partia chóralna „Hallelujah”.

Nie zawsze jest tak nagle i w wyjątkowych okolicznościach. Niemniej na drodze wiary powinno się odkryć ten moment łaski, zauważyć owo przedstawienie się Jezusa. Bywa, że jest to czas dużej ciemności, jak u Haendla. Czasem przedstawienie nam Jezusa przez kogoś, jak w przypadku apostołów Jana i Andrzeja, Jezusa wskazał im Jan Chrzciel. Czasem jest to tak po prostu, od zawsze, jak mówił młodym na Placu św. Piotra Jan Paweł II, we wspomnianym już dniu: „Pamiętam, że od dzieciństwa w mojej rodzinie nauczyłem się modlić i ufać Bogu. Pamiętam środowisko mojej parafii pod wezwaniem świętego Stanisława Kostki na Dębnikach w Krakowie. Prowadzili ją księża salezjanie, od których otrzymałem zasadniczą formację do życia chrześcijańskiego” (Jan Paweł II, *Plac św. Piotra, wtorek 15 sierpnia 2000 r.*). Powinno się mieć taką wyjątkową chwilę czy czas, kiedy jesteśmy przekonani, że spotkaliśmy Jezusa. Czy mam taką godzinę, czy pamiętam takie wydarzenie, kiedy wiem, że był to moment łaski, moment objawienia się mi Jezusa?

Następnie mówi papież: „Za nią idzie wezwanie do udzielenia odpowiedzi”. Za kogo Mnie uważasz – pyta Jezus? Kiedy się jest w Cezarei Filipowej, nawet dzisiaj, od razu wie się, dlaczego Jezus właśnie tam przyprowadził swoich uczniów. Zobaczyli przed sobą wyniosłą skałę, a obok niej i przy niej, wiele mniejszych czy większych świątyń i ołtarzy, zadbanych albo już rozwalających się. To wszystko pokazuje, że tam właśnie, u źródeł Jordanu, znajdowało się miejsce, gdzie przez wieki oddawano cześć różnym bóstwom. Na tle tej całej różnorodności propozycji duchowych tamtego świata, Jezus zadaje uczniom to fundamentalne pytanie, na które i my dzisiaj musimy odpowiedzieć: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?”, a potem: „A wy za kogo Mnie uważacie?”. Ten kontekst zdaje się prowokować w sercach uczniów takie pytanie Jezusa: „Czy jestem dla was jednym z tych wielu bóstw, które w zależności od sytuacji będziecie sobie bałwochwalczo wybierać, czy też wyznajecie, że jestem Kimś wyjątkowym i niepowtarzalnym, i nieporównywalnym – Synem Boga Żywego?”

Jeden z bliskich przyjaciół C. S. Lewisa (tego od „Opowieści z Narnii”) bronił poglądu, że Jezus nie był Bogiem. Na co Lewis mu odpisał: "Co mamy począć z Jezusem Chrystusem? Oto problem współczesnego człowieka. Z jednej strony mamy jasne nauki moralne i wydaje się, że istnieje powszechna zgoda co do tego, że w nauczaniu tego Człowieka, prawda moralna przedstawiona została w sposób najczystszy i najlepszy - a z drugiej strony Jego roszczenia do bycia Synem Boga, które o ile nie są prawdziwe, byłyby roszczeniami jakiegoś megalomana, w porównaniu z którym Hitler byłby jak najbardziej przy zdrowych zmysłach i najskromniejszym spośród ludzi. Nie ma tu półśrodków i nie ma tu podobieństwa do innych religii. Gdyby pójść do Buddy i zapytać go: Czy jesteś synem Brahmy? - odpowiedziałby: Synu mój, jesteś ciągle w dolinie iluzji. Gdyby pójść do Sokratesa i zapytać: Czy jesteś Zeusem - zostałoby się wyśmianym. Gdyby pójść do Mahometa i zapytać: Czy jesteś Allahem? - najpierw rozdarłby swoje szaty, a potem uciął pytającemu głowę. Gdyby zapytać Konfucjusza: Czy jesteś Niebem - prawdopodobnie odpowiedziałby: Spostrzeżenia niezgodne z naturą nie należą do dobrego tonu. Idea wielkiego nauczyciela mówiącego to, co mówił Chrystus, nie wchodzi tu w rachubę. Moim zdaniem jedyną osobą, która może mówić tego rodzaju rzeczy, jest albo Bóg, albo całkowity obłąkaniec, cierpiący na ten typ urojenia, który paraliżuje cały umysł człowieka." (C.S. Lewis, "Bóg na ławie oskarżonych", Oficyna Wydawnicza Logos, 2005, s. 16).

Jesteśmy wezwani przez Jezusa do dania odpowiedzi. Nie jest to łatwe. Wielu ma z tym trudności. Niels Bohr, twórca modelu atomu oraz Albert Einstein, twórca teorii względności, byli przyjaciółmi. Kiedyś Einstein odwiedził Bohra w jego letnim domu na wybrzeżu Danii. Wchodząc do domu zauważył, że nad wejściem, zgodnie z miejscowym zwyczajem, wisi podkowa, umieszczona tam, aby – jak twierdzą gospodarze – przynosiła szczęście mieszkańcom domu. Einstein zdziwiony, zapytał Nielsa, że jako fizyk chyba nie wierzy, że podkowa może przynosić szczęście i wpływać na kolej wydarzeń. Bohr odpowiedział, że nie wierzy, ale że słyszał, iż to działa, nawet, jeśli się w to nie wierzy. Niech więc na wszelki wypadek sobie wisi.

Tak było za czasów Jezusa, i tak jest teraz. Wciąż trzeba wybierać – czy Jezus, czy jakieś bałwochwalcze wierzenia w moc rzeczy stworzonych czy bóstw, które przecież nie istnieją? Tak bardzo ważna jest moja współpraca z łaską w laboratorium własnego serca, by moja wiara dojrzewała, stawiała się drogą uobecniania Jezusa, który nie będzie tylko postacią historyczną, ideą czy mądrym nauczycielem z przeszłości, ale stanie się obecnym, żywym w moim życiu, moim Zbawicielem i Panem.

Pewna studentka, Renata, nie potrafiła otworzyć się na łaskę wiary. Widać było, że uczciwie szukała relacji z Jezusem, jednak jej intelekt ciągle stawiał przeszkody. Dużo czytała, także Pismo święte, miała wiele wątpliwości i zastrzeżeń. Koleżanki starały się jej tłumaczyć, organizowały spotkania z kapłanami, by próbowali dać jej odpowiedzi na jej pytania. Jedna z nich miała zwyczaj uczestniczenia w comiesięcznej adoracji Najświętszego Sakramentu, prowadzonej przez modlitewną wspólnotę. Zaprosiła sceptyczną koleżankę, która nie miała dobrych skojarzeń z adoracją w przeszłości. Kiedy jeszcze chodziła na niedzielne Eucharystie, pamiętała, że czasem była przeprowadzana adoracja, na której często się nudziła, lub z której po prostu wychodziła. Tym razem stało się inaczej. Piękne i przejmujące śpiewy, cisza, refleksja nad słowem Bożym dotykały głęboko jej serca. Koleżanka zauważyła, że Renata jest poruszona. Dyskretnie ocierała spływające po jej policzkach łzy. Po prawie godzinnej modlitwie mogła usłyszeć, że Renata podejmuje wraz z innymi śpiew. Po skończonej adoracji koleżanka była zdziwiona postawą Renaty, która rzuciła jej się na szyję. Ponieważ wydarzyło się to w czerwcowy wieczór, dziewczyny poszły jeszcze na lody, by porozmawiać o tym, co zaszło. Kiedy kelnerka pytała o szczegóły zamówienia, czy lody mają być truskawkowe czy waniliowe, wtedy Renata nieoczekiwanie wykrzyknęła rozradowana: „A jaka to różnica czy truskawkowe czy malinowe – Jezus żyje!” Wiara sprawia, że Chrystus może zamieszkać w moim życiu. Moja odpowiedź na Jego zaproszenie, staje się drogą, którą może On do mnie przychodzić - zapraszany wciąż nieustannie do mojego serca, do tego „laboratorium wiary”, a przez nie do mojej codzienności.

Ojciec święty Jan Paweł II mówił jeszcze w Rzymie młodym, komentując czym jest owo „laboratorium wiary”: „W końcu jest odpowiedź człowieka - odpowiedź, która odtąd będzie musiała nadawać sens i kształt całemu jego życiu”. Zastanawiamy się, jaki pożytek może mieć człowiek z wiary? Jaki pożytek może mi przynieść to, że wierzę w Jezusa? Przecież wiara nie da mi jeść, nie zapewni mi pracy, nie zda za mnie matury czy egzaminu na studia, nie znajdzie mi żony czy męża. A jednak! Wiara jest najpotężniejszą sprawą na świecie! Poprzez nią przychodzi w moje życie Miłość, która usuwa wszystkie lęki. Lęki, które mnie paraliżują, zamykają w sobie, nie pozwalają żyć. Wiara, poprzez którą Jezus jest obecny w mojej codzienności, nadaje sens i kształt mojemu życiu. Jeśli tak nie jest, to moja wiara nie jest wiarą chrześcijańską.

Garri Kasparow – jeden z najwybitniejszych szachistów wszechczasów – mówił o swoim poprzedniku – Michale Talu, że jest „Czarodziejem z Rygi”. Styl jego gry był niezrównany. Tal, to jedyny szachista, który nie przeliczał wariantów, ale po prostu je widział. Fantazja Tala nie znała granic. Miało się wrażenie, że figury „ożywały” pod jego ręką. Tym ma być wiara dla chrześcijanina. Patrzy na świat, tak jak inni patrzą, ale widzi jeszcze coś więcej, dalej, głębiej. Dla chrześcijanina wiara ma być jak krople do oczu – pozwala widzieć wyraźniej; ma być jak telefon komórkowy – łączy z Bogiem w każdej chwili; ma być jak mikroskop – pozwala dostrzegać wielkość także tego, co małe; ma być jak spadochron – zapewnia bezpieczeństwo nawet tam, gdzie nie ma oparcia; ma być też jak pochodnia – jedna zapala drugą.

Nasza wiara ma być przekazywana przede wszystkim poprzez świadectwo życia. Pytano muzułmanów we Francji, jak widzą chrześcijan? A oni odpowiedzieli, że chrześcijanie są nierozpoznawalni. Jak to czynić? Jak dawać świadectwo? Czy aż tak, jak to czyni tysiące prześladowanych chrześcijan w niektórych krajach świata, gdzie ceną za świadectwo jest oddanie życia za wiarę w Jezusa? Papież odpowiedział młodym w Rzymie bardzo konkretnie: „Może od was nie będzie się wymagać przelania krwi, ale wierności Chrystusowi z pewnością tak! Wierności, której trzeba dochować każdego dnia”. I tutaj, rzecz ciekawa, Jan Paweł II

wymienia konkretnie osiem sytuacji, w których dawanie dzisiaj świadectwa przez młodych jest wręcz konieczne. Warto się zastanowić, o jakie sytuacje chodzi.

„Mam na myśli narzeczonych i trudności, jaką sprawia w dzisiejszym świecie życie w czystości w oczekiwaniu na małżeństwo”. To wielkie wyzwanie dla dzisiejszych młodych. Pewni młodzi ludzie, słuchając tych słów Rzymie, postanowili wprowadzić w życie tę papieską zachętę. Chcieli żyć w czystości do ślubu. Poprosili o pomoc księdza. Był ich spowiednikiem i towarzyszem. Umówili się, że kiedy będzie bardzo trudno, to będą wysyłać smsem wykrzykniki. Wtedy kapłan odsyłał im krzyżyki, będące deklaracją modlitwy i wsparcia. Po trzech latach ów kapłan błogosławił ich związek małżeński. Wszyscy oni byli głęboko przekonani, że czekanie miało sens. Było okupione wielkim wysiłkiem i walką oraz modlitwą i ofiarą. Ale miało sens.

Papież mówił dalej: „Mam na myśli młodych małżonków i próby, na jakie jest narażone ich przyrzeczenie wzajemnej wierności”. Dwa lata po ślubie, po urodzeniu dziecka, pewne małżeństwo zdecydowało się na rozłąkę. Mąż wyjechał zagranicę do pracy. Żona została w Polsce z córeczką. Przez pierwszy rok nie było problemów z kontaktem. Codzienne rozmowy przez telefon czy skay’pa, smsy. Z czasem kontakt stawał się mniej regularny. Co się dzieje? Podczas rozmowy mąż starał się być nadal kochający i serdeczny. Kobieca intuicja jednak nie zawiodła. Żona zostawiła na weekend córeczkę u swoich rodziców, swoich znajomych poprosiła o modlitwę i niespodziewanie pojawiła się w Irlandii. Zaskoczenie męża było ogromne. Wywiązała się szczerą rozmową. Mąż przyznał się, że właśnie tego wieczoru miał kolejne umówione spotkanie z dawną znajomą, która pracowała w pobliżu. To był dla nich bardzo ciężki weekend. W niedzielę udali się wspólnie do kościoła. Oboje poszli do spowiedzi, a po Mszy świętej poprosili kapłana, by związał ich ręce stulą i odnowili przed nim swoje przyrzeczenia małżeńskie. Po miesiącu od tego wydarzenia mężczyzna powrócił do Polski i zamieszkał wraz z żoną i córeczką.

Gdzie jeszcze trzeba dawać świadectwo? „Mam na myśli relacje między przyjaciółmi i pokusę nielojalności, jaka wkraść się może między nich” – mówił Jan Paweł II. Pewien nauczyciel został dyrektorem szkoły. Oprócz dawnych kolegów, pojawili się teraz nowi. Okazało się jednak wkrótce, że nowy pan dyrektor ma poważne problemy alkoholowe, o których mało kto wiedział, a które pogłębiły się wraz z nowymi stresami, związanymi z nowymi obowiązkami. Wkrótce stracił stanowisko i pracę, a także wielu nowych, jak się okazało, tymczasowych przyjaciół i znajomych. Wciąż go jednak odwiedzał wypróbowany przyjaciel, który był przy nim zawsze, nawet jeśli przez czas dyrektorowania ten o nim często zapomniał. Jednak choroba alkoholowa się pogłębiała. Przyjaciel próbował różnych sposobów, by pomóc koledze. Nie skutkowały. Nie chciał – były dyrektor szkoły - przyjąć do wiadomości, uznać, że ma problem alkoholowy. Wtedy jego przyjaciel wpadł na odważny pomysł. Kiedy znów któregoś dnia alkohol pokonał nieszczęśnika, ten nagrywał jego zachowanie na komórkę, przez dłuższy czas. Następnie przygotował z tego nagrania bardzo sugestywny film, który – gdy kolego wytrzeźwiał – wspólnie obejrzel. Było to jak piorun z jasnego nieba. Najpierw pojawił się pewien rodzaj oburzenia i pretensje do przyjaciela, ale po głębszej refleksji dojrzała decyzja o podjęciu leczenia. W ten sposób prawdziwa przyjaźń uratowała życie człowiekowi.

Inne pole walki, o którym mówił papież: „Mam także na myśli tych, którzy podjęli drogę szczególnej konsekracji, i wysiłek, jakiego nieraz wymaga wytrwałość w oddaniu się Bogu i braciom”. Młody chłopak toczył w sercu walkę. Czuł głęboko, że Jezus go zaprasza do kapłaństwa, a jednak nie miał odwagi odpowiedzieć na to wezwanie. Rozpoczął jedno studia – po roku zrezygnował. Rozpoczął kolejne studia – po roku znów zrezygnował. Pojechał wtedy na wakacjach na Przystanek Woodstock. Tam spotykał młodych z Przystanku Jezus. Także księży, kleryków, siostry zakonne. Odważył się podejść w pewnej chwili do księdza i wbrew często tam spotykanym krytycznym uwagom, powiedział coś innego temu kapłanowi. „Dziękuję wam, że tu jesteście”. I odszedł speszony. Po jakimś czasie znów się spotkali – niby przypadkiem – na potężnym woodstockowym polu. Tym razem zaczął go kapłan. Wywiązała się już dłuższa i szczerą rozmowa. Łaska Jezusa jednak intensywnie pracowała w sercu tego młodego człowieka. Opowiedział swoją historię owemu księdzu. To, że wciąż ucieka przed powołaniem, że ma wielki lęk przed podjęciem decyzji, ponieważ widzi i słyszy, co się mówi o kapłanach, o Kościele, zwłaszcza w środowisku młodych, w którym przebywa. Tutaj jednak przyjeżdżając, zobaczył na Przystanku Jezus inny Kościół. Kościół, którego i on nie znał, a tym bardziej jego znajomi. Uświadomił sobie, że Jezus go zaprasza do tego, by właśnie taki Kościół Chrystusa współkształtował jako kapłan. Podjął decyzję o wstąpieniu do zakonu. Rok później spotkali się tam znowu, ale już razem na Przystanku Jezus.

Kolejny wymiar męczeństwa na co dzień określił Jan Paweł II następująco: „Myślę też o tych, którzy chcą przeżywać relacje solidarności i miłości w świecie, w którym - jak się wydaje - ma wartość jedynie logika korzyści i interesu osobistego czy grupowego”. Przyszła do kapłana pewna lekarka i szczerze wyznała: „Proszę księdza, przeżyłam rekolekcje”. „Pięknie” – odpowiedział kapłan. „Musze księdzu wyjaśnić. Otóż, moja mama poważnie zachorowała. Codziennie musi brać zastrzyki. Poprosiłam pewną młodą pielęgniarkę środowiskową, która tutaj przychodzi do nas do kościoła, by przychodziła – oczywiście za odpowiednią zapłatą – i dawała mamie te zastrzyki. Umówiliśmy się, że będę ją wynagradzać po tygodniu. Kiedy jej przekazałam umówioną sumę, ona mi pewną kwotę zwróciła. Zaskoczona zapytałam ją, o co chodzi? A ona mi odpowiedziała, że w niedziele pracuje za darmo. Proszę księdza – mówi bardzo poruszona kobieta – nie sądziłam, że są jeszcze tacy ludzie. To były dla mnie rekolekcje”.

Papież wskazuje nam jeszcze inny obszar, gdzie trzeba podejmować wysiłek wiary: „Mam również na myśli tych, którzy działają na rzecz pokoju, a widzą, jak w różnych częściach świata rodzą się i rozwijają nowe ogniska wojny.” Młody człowiek, będąc w wojsku, pojechał w ramach misji rozjemczej ONZ na obszary dawnej Jugosławii, wcześniej objęte wojną. Na jego oczach koleżka miną rozerwała nogę. Przejęty do głębi tym doświadczeniem, po powrocie do kraju, wraz ze swoją rodzoną siostrą, angażują się w pomoc dzieciom – sierotom i ofiarom wszelkich konfliktów zbrojnych i wojen.

Jan Paweł II wskazuje jeszcze inny trudny obszar, gdzie wiara powinna kształtować rzeczywistość: „Myślę o tych, którzy działają na rzecz wolności człowieka, a widzą, że jest on jeszcze niewolnikiem siebie samego i innych”. W roku 1983 powstaje we Włoszech, w miejscowości Saluzzo, z inspiracji Siostry Elviry Petrozzi Wspólnota Cenacolo. Jest to sieć domów, ale przede wszystkim sieć relacji, gdzie krzewiona jest wiara i wzajemna miłość, a młodzi ludzie obciążeni i związani różnymi nałogami, z pomocą modlitwy, pracy i przyjaźni odzyskują wolność, by móc kochać pełniej Boga i ludzi. W Polsce są trzy domy tej wspólnoty – Giezkowo (koło Koszalina), Jastrzębie Zdrój (koło Katowic) i Poręba Radlna (koło Tarnowa) - gdzie można znaleźć konkretną pomoc.

I wreszcie Jan Paweł II ukazuje ósmy obszar, który należy przenikać wiarą: „Mam na myśli tych, którzy walczą, aby kochano i szanowano ludzkie życie, a muszą być świadkami częstych zamachów na nie i na należny mu respekt”. Młoda dziewczyna zachorowała na poważną chorobę – zanik mięśni. Pojawiła się szansa na leczenie. Nowa, niesprawdzona jeszcze do końca metoda, mogła przywrócić jej zdrowi lub przynajmniej zahamować rozwój choroby. Zgromadzono już pieniądze na podróż i operacje. Okazało się jednak, że komórki do przeszczepu w tej metodzie, są pobierane z abortowanych dzieci. Dramat i dylemat dziewczyny. Co zrobić? Po dłuższym namyśle i modlitwie – nie zgodziła się.

Oto obszary, na których – według św. Jana Pawła II - każdy wierzący jest zaproszony do kształtowania ich poprzez światło wiary. Czy stać nas na to? Jan Paweł II w ten sposób podsumowuje swą myśl: „Czy trudno jest wierzyć w takim świecie? Czy trudno jest wierzyć? Tak! Jest trudno. Nie należy tego ukrywać. Jest to trudne, ale z pomocą łaski jest to możliwe”.

DZIEŃ CZWARTY

INTENCJA: Modlimy się za Ojczyznę.

SKRZYDŁA WOLNOŚCI, CZYLI O KORZENIACH W NIEBIE

„Odtąd zaczął Jezus wskazywać swoim uczniom na to, że musi iść do Jerozolimy i wiele cierpieć od starszych i arcykapłanów, i uczonych w Piśmie; że będzie zabity i trzeciego dnia zmartwychwstanie. A Piotr wziął Go na bok i począł robić Mu wyrzuty: «Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie». Lecz On odwrócił się i rzekł do Piotra: «Zejdź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki»” (Mt 16, 21-23)

„Jak więc przejęliście naukę o Chrystusie Jezusie jako Panu, tak w Nim postępujcie: zapuśćcie w Niego korzenie i na Nim dalej się budujcie, i umacniajcie się w wierze, jak was nauczono, pełni wdzięczności. Baczcie, aby kto was nie zagarnął w niewolę przez tę filozofię będącą czczym oszustwem, opartą na ludzkiej tylko tradycji, na żywiołach świata, a nie na Chrystusie. W Nim bowiem mieszka cała Pełnia: Bóstwo, na sposób ciała, bo zostaliście napelnieni w Nim, który jest Głową wszelkiej Zwierzchności i

Władzy. I w Nim też otrzymaliście obrzezanie, nie z ręki ludzkiej, lecz Chrystusowe obrzezanie, polegające na zupełnym wyrzuceniu się z ciała grzesznego, jako razem z Nim pogrzebani w chrzcie, w którym też razem zostaliście wskrzeszeni przez wiarę w moc Boga, który Go wskrzesił” (Kol 2, 6-12)

W szpitalu psychiatrycznym zapanowała moda na udawanie liści. Wszyscy pacjenci poprzyczepiali się do sufitu i udawali liście. Personel zaniepokojony – co robić? Ktoś wpadł na dobry pomysł. Otwierał drzwi do poszczególnych sal i krzyczał: „Nadeszła jesień”. I rzeczywiście, „pacjenci – liście”, odpadali od sufitu. Ale w ostatniej sali eksperyment nie zadziałał. Gdy otworzono drzwi i oznajmiono: „Nadeszła jesień”, pacjent nie odpadł od sufitu, tylko odpowiedział: „Nie widzisz, głupcze, że to drzewo iglaste?”

Dlaczego to porównanie? Podczas wielkiego czuwania w Madrycie w 2012 roku, na wielkich polach Cuatro Vientos zebrało się około 2 mln młodych ludzi. Ojciec święty Benedykt XVI stał na potężnej scenie, pod wielkim żółtym drzewem. Wydawało się, że korona tego drzewa przypomina korzenie. Tak, hasło tego spotkania było parafrazą słów zaczerpniętych z Listu św. Pawła do Kolosan: „Zakorzenieni i zbudowani na Chrystusie, mocni w wierze” (por. Kol 2,7). Chrześcijanin to człowiek zbudowany na Bogu. Powinien być jak drzewo zakorzenione w Chrystusie. Ale to drzewo wydaje się być dziwne, gdyż korzenie ma do góry, a gałęzie ku dołowi.

Kiedy papież przemawiał wtedy do młodych, w którymś momencie przyszedł potężny wiatr, który zdemolował nie tylko niektóre konstrukcje i instalacje, ale zaaranżował po swojemu na kilkanaście minut to wyjątkowe spotkanie. Tak, jakby wiatr te ludzkie drzewa zaprosił do oderwania się od ziemi. I rzeczywiście, tysiące, setki tysięcy młodych zaczęło tańczyć, śpiewać i bawić się, ponieważ została zakłócona komunikacja. Niesamowity był to widok. Młody Kościół, który oderwał się od ziemi i swoją radością jakby chciał wzlecieć ku niebu. Sam papież Benedykt XVI mówił przecież do młodych: „Zakorzenieni w Nim (Chrystusie), dodajemy skrzydeł naszej wolności”. Te słowa wtedy jakby się realizowały.

Dziwnie by wyglądało drzewo korzeniami do góry. Ale jeszcze dziwniej wyglądałby człowiek przyczepiony do sufitu, trochę jak z tego dowcipu o pacjentach ze szpitala. Jednak właśnie taki ma być chrześcijanin zakorzeniony w Chrystusie – jak drzewo do góry korzeniami! „Staliśmy się bowiem widowiskiem świata, aniołom i ludziom; my głupi dla Chrystusa, wy mądrzy w Chrystusie, my niemocni, wy mocni; wy doznajecie szacunku, a my wzgardy”(1 Kor 4, 9-10). Taka jest niejednokrotnie także dzisiejsza rzeczywistość i codzienność chrześcijanina – „głupi w oczach świata”. Coraz częściej wprost albo pośrednio, w mediach, w szkole, w pracy, nawet w domu od najbliższych, słyszysz: „nie wygłupiaj się z tą wiarą, odbiło ci?, zejź na ziemię-nie fruuj w obłokach, nie bądź dziwakiem, kto tak dzisiaj myśli-mówi-postępuje?, jaka Ewangelia?, jaki Jezus?, człowieku, mamy XXI wiek!”. I bywa tylko czasem, że na Boże Narodzenie czy na Wielkanoc, nawet inni – nie wiedząc czemu – przyczepią się z nami na chwilę do sufitu. Jednak bardzo szybko wielu odpada, wraca na tzw. ziemię, by nie wystawić się na pośmiewisko. A co z Tobą? Też odpadniesz? A może jednak odpowiesz słowem i życiem: „Nie, ja jestem drzewem iglastym”.

Podobne myślenie prezentował św. Piotr Apostoł. Kiedy Jezus wspominał mu o tym, że Syn Człowieczy będzie wydany w ręce grzeszników, że będzie cierpiał, że będzie ukrzyżowany i trzeciego dnia zmartwychwstał, Piotr nie chciał o tym słyszeć. „ (...) wziął Go (Jezusa) na bok i począł robić Mu wyrzuty: «Panie, niech Cię Bóg broni! Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie»”. Czyli mówił Jezusowi wtedy tak, jak wielu może dzisiaj nam mówić: „Chodźmy po ziemi, żadnego wychodzenia na krzyż”. Wiemy, że Piotr usłyszał od Jezusa mocne słowa: „«Zejź Mi z oczu, szatanie! Jesteś Mi zawadą, bo myślisz nie na sposób Boży, lecz na ludzki»”. To jest kuszenie. Czasem Zły kusi nas przez innych pod pozorem dobra, tak zwanego rozsądku. Kusił przez Piotra Jezusa i dzisiaj także kusi nas przez innych, nawet wydawałoby się pobożnych ludzi. Łatwo dać się zwieść, jeśli nie jest się zakorzenionym w Bożej woli, tak jak Chrystus. On wiedział jaka jest Jego misja, co jest wolą Bożą, którą przyszedł wypełniać. Dlatego odpędził ostro i jednoznacznie ową pokusę nie wychodzenia na krzyż, pójdźcia na skróty, na łatwiznę.

Jak my reagujemy na podobne propozycje, z pozoru rozsądne, które nam przedstawiają inni? A czy my czasami wobec osób, które chcą na serio żyć Ewangelią nie zachowujemy się podobnie, jak Piotr wobec Jezusa? Czy przypadkiem nie podcinamy skrzydeł naszym bliskim, swoimi słowami, komentarzami, poglądami: „Nie wygłupiaj się z tą wiarą, jesteś śmieszny, naiwny, zejź z krzyża na ziemię, nie wysilaj się”? Żebyśmy przypadkiem nie usłyszeli: „Zejź mi z oczu szatanie, bo myślisz tylko po ludzku”.

Benedykt XVI powiedział w Madrycie te piękne słowa: „Zakorzeni w Chrystusie, dodajemy skrzydeł naszej wolności”. Tu chodzi o wolność! My tak naprawdę boimy się, że jeśli opowiemy się za Chrystusem we wszystkim, to przestaniemy być wolni. Myślimy, że Ewangelia Jezusa nas ograniczy, że żyjąc według Ewangelii na poważnie będziemy tracić. Właśnie jest odwrotnie. Jezus mówi jasno: „Kto chce zachować swoje życie, straci je, a kto straci swoje życie z powodu Mnie i Ewangelii, zachowa je” (Mt 8, 35). Jeśli zakorzenimy się w ziemi, tylko w sprawach tego świata, to razem z ziemią będziemy się poruszać. Tak jak chcą tylko ziemskie prawa, tak jak chce ten doczesny świat. Będziemy jak drzewa w ziemi, które tylko wtedy się poruszają, kiedy rusza się ziemia, albo gdy je ktoś przewróci, wytnie, spali. Bezwolne, zniewolone ziemią drzewa.

Zakorzeni w Chrystusie stajemy się rzeczywiście wolni. Tam gdzie Chrystus, tam i my. A On nie jest ograniczony ziemią – jest Panem Wszechświata! Wtedy niejako otrzymujemy skrzydła, możemy szybować coraz wyżej i dalej, ku wolności, do której nas Chrystus wyswobodził. Kiedy będziemy zakorzeni w Chrystusie, wtedy nasza codzienność, czyli niejako nasze gałęzie, zwisać będą, jak skrzydła, nad ziemią, będą przy niej blisko, ale ziemią nie będą związane, zniewolone, ograniczone, zakopane. Trudno w to uwierzyć i dlatego coraz więcej ludzi „odpada od sufitu”, jak jesienne, zwiedłe liście. Boją się wyśmiania, nazwania głupimi przez ten świat. Tymczasem „my głosimy Chrystusa ukrzyżowanego, który jest zgorszeniem dla Żydów, a głupstwem dla pogan” (1 Kor 1,23). Skoro Jezus był nazwany „Głupstwem”, to dlaczego my mamy się bać Go naśladować, jeśli jest naszą miłością?

Jak więc wytrwać w zakorzenieniu w Chrystusa? Warto najpierw nie popełnić błędu Apostoła Piotra. On nie usłyszał do końca słów Jezusa. Zawsze Bożego słowa trzeba słuchać dokładnie. Jezus, zapowiadając swoją mękę, wspominał na końcu, że Syn Człowieczy zmartwychwstanie! Tego już Piotr nie usłyszał, przerażony zapowiedzianym cierpieniem, krzyżem i śmiercią Mesjasza. Jezus zapowiedział jednak także swoje zmartwychwstanie! Krzyż Jego nie kończy się na śmierci, jest drogą do zmartwychwstania! Gdyby nie Zmartwychwstanie Chrystusa, to rzeczywiście bylibyśmy głupcami i pożałowania godni. Tymczasem Jezus Zmartwychwstał, jako jedyny, i dlatego warto dla Niego i z Nim – najpierw stać się głupstwem, aby potem także dla Niego i razem z Nim zmartwychwstać, stać się wolnym w pełni. I to nie kiedyś, w przyszłym życiu, ale już teraz, dzisiaj. Jak to możliwe?

O człowieku, który nie jest w stanie do końca używać swego rozumu, mówi się potocznie, że „ma żółte papiery”. W Madrycie, podczas XXVI Światowych Dni Młodych, młodzież otrzymała „żółte papiery” – katechizm „Youcat”, czyli młodzieżową wersję Katechizmu Kościoła Katolickiego. Ten młodzieżowy katechizm ma charakterystyczny żółty kolor, w odróżnieniu do katechizmu fundamentalnego, który jest niebieski. Warto sięgać po katechizm – jeden, i drugi. To swoisty przewodnik w drodze do nieba. To konkretne wskazówki, jak właściwie wędrować, którędy iść najlepiej i bezpiecznie, aż do oglądania Boga „twarzą w twarz”; jak nie pobłądzić, jak nie dać się zwieść pokusom oraz sloganom i przesądom świata; jak być zakorzenionym w Chrystusa, jak być głupim w oczach świata, a mądrym dla Chrystusa.

Jest taka bajka Stanisława Lema, której bohaterami są dwaj konstruktorzy: Trurl i Klapaucjusz, genialni inżynierowie. Podczas swojej kolejnej wyprawy po kosmosie, Trurl i Klapaucjusz zostają pojmani przez międzygwiazdowego zbója Gębona. Celem wykupienia Trurl proponuje skonstruowanie maszyny zamieniającej wodór w złoto. Gębón okazuje się być zbójem dyplomowanym, z doktoratem i patentami, który nie dba o bogactwo, ale za to żądny jest wiedzy. Skonstruowali mu zatem aparat do rabowania informacji, zwanego demonem drugiego rodzaju. Zbój Gębón siedział sobie i, korzystając z tego aparatu, czytał każdą informację. Były tam naukowe twierdzenia, hipotezy, opisane nowe technologie. Aparat zapisywał znacznie szybciej informacje, niż zbój Gębón mógł je czytać. Taśmy przybywało coraz więcej. Zanim zbój zorientował się, że to pułapka, legł przywalony zwałami nieprzeczytanych wiadomości i uwięziony przez gąszcz informacji, a konstruktorzy tymczasem uciekają (por. S. Lem, *Cyberiada*, Wydawnictwo Agora, 2009).

Żyjemy dzisiaj w zalewie informacji. Futurystyczne opowieści Stanisława Lema, okazuje się, że bardzo szybko stały się teraźniejszością, a nawet teraźniejszość wyprzedziła w wielu sytuacjach wyobraźnię tego wielkiego pisarza. Gdzie jest prawda, jak znaleźć prawdę w tym gąszczu informacji? Papież Benedykt XVI mówił do młodych w Madrycie: „Właśnie w obecnych czasach, kiedy dominująca kultura relatywistyczna rezygnuje z poszukiwania prawdy i gardzi poszukiwaniem prawdy, będącej największą

aspiracją ludzkiego ducha, powinniśmy odważnie i z pokorą ukazywać uniwersalną wartość Chrystusa jako Zbawiciela wszystkich ludzi i źródło nadziei dla naszego życia”.

To Chrystus i Jego słowo jest Prawdą. Czytamy w Liście św. Pawła do Rzymian: „Nie bierzcie wzoru z tego świata, lecz przemieniacie się przez odnowienie umysłu, abyście umieli rozpoznać jaka jest wola Boża, co jest dobre, co Bogu przyjemne i co doskonałe” (Rz 12, 1-2). Jak rozpoznawać Bożą wolę konkretnie? Czytajmy katechizm. Systematycznie, a także wtedy, kiedy potrzebujemy znaleźć odpowiedź na nasze pytanie. Kiedy stoimy przed wyborem, przed podjęciem decyzji. Tu są jasno sprecyzowane kryteria i normy, które podpowiedzą nam właściwe rozwiązania.

Soren Kierkegaard, duński filozof chrześcijański, mówi o dzisiejszej kulturze za pomocą metafory statku. Statek znajduje się dziś w ręku będącego na pokładzie kucharza. Przez mikrofon kapitana nie płynie już przekaz o kursie, wskazówki, w jakim kierunku płynąć ma statek. Zamiast kapitana, kucharz przekazuje informacje o tym, co będziemy jutro jeść.

Jaki to ma sens? Czy wystarczy mi do przeżycia życia wiedza o tym, co jutro będzie do jedzenia? Mogę do jutra nawet przecież nie dożyć. A taką wiedzę jesteśmy w dużej mierze codziennie karmieni. Chrześcijański psycholog John Powell mówi o pięciu sposobach komunikacji między ludźmi. Pierwszy sposób, to banały – rozmawiamy o pogodzie, o sporcie. Drugi sposób, to fakty – mówimy o tym, czego dowiedzieliśmy się. Trzeci sposób, to opinie – mówimy o tym, co myślimy. Czwarty sposób, to uczucia – mówimy o tym, co czujemy. Wreszcie czwarty sposób komunikowania się, to otwartość – mówimy o tym, kim jesteśmy, co jest naszą radością, a co troską. Jeśli chcemy się rozwijać, wzrastać ku większej wolności, powinniśmy przechodzić w naszej komunikacji z innymi, a zwłaszcza z Jezusem - od mówienia banałów poprzez fakty i opinie, aż do dzielenia się uczuciami, by wejść w pełną otwartość.

Ojciec święty Benedykt XVI powiedział o znaczeniu słowa młodym w Madrycie: „Są takie słowa, które służą jedynie temu, by zabawić i przemijają jak wiatr; inne pod pewnymi względami pouczają umysł; natomiast słowa Jezusa powinny dotrzeć do serca, zakorzenie się w nim i kształtować całe życie. Bez tego pozostają puste i stają się krótkotrwałe. Nie przybliżają nas do Niego. I w ten sposób Chrystus nadal jest daleko, jako jeden z głosów pośród wielu innych, które nas otaczają i do których już się przyzwyczailiśmy. Ponadto Mistrz, który mówi, naucza nie tego, czego się nauczył od innych, ale tego, kim On sam jest – jedynym, który naprawdę zna drogę człowieka do Boga, gdyż On sam otworzył ją dla nas, stworzył, abyśmy mogli osiągnąć autentyczne życie, to, które zawsze jest warte przeżycia, we wszystkich okolicznościach i którego nie może zniszczyć nawet śmierć.” Dlatego potrzebujemy konkretnej wiedzy na temat życia, informacji prawdziwej i wyselekcjonowanej spośród nieprawdziwych albo banalnych wiadomości. Otrzymujemy do ręki pewny przewodnik – katechizm.

Pewną metaforą katechizmu może być drzewo, ale właśnie odwrócone do góry korzeniami. Katechizm ma cztery części – zarówno ten niebieski, jak i ten żółty. Pierwsza część mówi o tym: W co wierzymy, czyli „Credo” - to są korzenie drzewa. Druga pokazuje: Jak celebруем misteria Kościoła, czyli „Sakramenty” - to jest pień drzewa. Trzecia wskazuje: W jaki sposób mamy życie w Chrystusie, czyli „Dekalog” – to jest korona drzewa. Czwarta część podpowiada: Jak powinniśmy się modlić, czyli „Ojcze nasz” – to jest cała atmosfera otaczająca drzewo.

Korzenie drzewa, to nasza wiara (Credo), która zakorzenia nas w Chrystusa, a przez Chrystusa i w Chrystusie, i z Chrystusem w życie i tajemnicę Trójcy Przenajświętszej. To ważne w jakiego Boga wierzymy, jaki jest nasz Bóg, kim jest. Nie taki, o którym niejednokrotnie fałszywie mówią media - śmieszny i pokraczny – skrojony na ludzką tylko miarę, jak powie papież Benedykt: według metody „zrób to sam”. Taki bowiem Bóg nie działa, ponieważ nie ma takiego Boga. Korzenie wiary zakorzeniają nas w Boga, który jest naszą Ziemią Obiecaną, środowiskiem, z którego czerpiemy wszelkie potrzebne minerały, aby drzewo życia mogło żyć, a nie uschnąć. Drzewo bez korzeni albo wyrwane z korzeniami z ziemi, po prostu usycha. Podobnie człowiek przestaje żyć duchowym życiem, jeśli nie wierzy Jezusowi, czyli nie jest w Niego zakorzeniony. „Ja jestem drogą, i prawdą, i życiem. Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej, jak tylko przeze Mnie” (J 14, 6) – powie Jezus.

Pień drzewa, to celebrowanie tajemnic naszej wiary, czyli sakramenty. Liturgia wprowadza i uruchamia w nas życie łaski. Sprawia, że od samego Boga, poprzez wiarę, czyli przez korzenie, przepływają

wszelkie minerały, czyli źródła łaski, wszelkie konieczne soki błogosławieństwa Bożego: łaska uświęcająca, uczynkowa, skuteczna, które ożywiają naszą relację z Bogiem, sprawiają, że możemy doświadczać Bożej miłości, zbawienia i uświęcenia.

Korona drzewa, konary, gałęzie, liście, kwiaty i owoce – ta całe bogactwo naszego moralnego życia, które wyraża się poprzez Dekalog. Owocujemy myślami, słowami, cnotami, czynami, gestami. Wszystko to jest zdrowe i dobre, jeśli wypływa z samego Pana Boga, poprzez naszą wiarę i celebrację sakramentów. Wtedy nasze życie moralne, zachowywanie przykazań, świadectwo życia jest prawdziwe. Można zachowywać przykazania tylko na zewnątrz. Można być dobrym człowiekiem, poprawnym moralnie tylko na pokaz, bez odniesienia do Boga. Możemy być wtedy podobni do takich suchych konarów, gałęzi i zwiędłych liści, które nadają się tylko na spalenie i nic z nich nie pozostanie, oprócz popiołu.

Wreszcie atmosfera, niejako powietrze potrzebne do procesu fotosyntezy. Drzewo bez światła i powietrza także uschnie. Tym powietrzem dla nas jest modlitwa, a słońcem Duch Święty. Najpiękniejszą, skuteczną modlitwę zostawił nam Pan Jezus – „Ojciec nasz”. Nie tylko jest to modlitwa wzorcowa, ale przede wszystkim pochodząca z Serca samego Boga. Nie jest więc jakąkolwiek modlitwą. Ma wielką moc i znaczenie. Ważne byśmy na niej budowali całe życie modlitwy, która jest jak powietrze dla naszego duchowego życia.

Przedstawiona metafora drzewa, które symbolizuje nasze chrześcijańskie życie zakorzenione w Chrystusie, może nam pomóc uporządkować sobie tak różnorodne rzeczywistości związane z naszą religijnością. Powiązać to, co z czego wynika, z czego wypływa i na co oddziałuje. Nie jest to, oczywiście poważna teologia, niemniej można uchwycić dzięki temu obrazowi pewne zależności i umiejscowić je w odpowiedniej strukturze. Dzięki naszemu zakorzenieniu w Chrystusie, nasza wolność otrzymuje skrzydła, jak mówi papież Benedykt XVI. Nasza wolność nie jest bowiem rzeczywistością statyczną i skończoną. Możemy ją nieustannie poszerzać i rozwijać, bowiem nasza wolność tak rozumiana ma swe źródło w Chrystusie, który jest nieskończenie wolny. A do czego potrzebujemy wolności? Żeby kochać więcej!

Ojciec Jan Andrzej Kłoczowski, dominikanin, filozof dialogu, opowiadał kiedyś pouczający dowcip. Mówił o oznakach starości. Kiedy człowiek zaczyna się orientować, że jest już stary? Pierwsze kryterium jest takie – kiedy widzi, że w schabowym, który spożywa na obiad zostają jego zęby. Drugie kryterium starości jest następujące – kiedy człowiek się orientuje, że staruszka, którą przeprowadza przez jezdnię na pasach, okazuje się być jego żoną. I trzecie kryterium starości - kiedy człowiek spostrzega się, że drabina, po której wychodzi do góry przez całe swoje życie jest przystawiona do niewłaściwego muru. To nie jest banalny dowcip. On pokazuje, że starcem można się stać w każdym wieku. Dwa wcześniejsze kryteria mówią o starzeniu się biologicznym i społecznym. Ale to trzecie pokazuje, że człowiek staje się starcem, kiedy źle wybiera, kiedy idzie fałszywą drogą, wspina się na niewłaściwy szczyt. Analogicznie – człowiek młody, zawsze młody, to ten, który zakorzeniony jest w prawdzie, który zna drogę, który wie, jak dobrze wybierać i to czyni. Taki człowiek jest zawsze młody. Taki człowiek jest zawsze wolny. Taki człowiek ma skrzydła. Zakorzeniony w Chrystusie.

DZIEŃ PIĄTY

INTENCJA: Modlimy się za dzieci i młodzież oraz za ich wychowawców.

RESPIRATOR DUCHA, CZYLI O IZDEBCE W SERCU

„Gdy się modlicie, nie bądźcie jak obłudnicy. Oni lubią w synagogach i na rogach ulic wystawać i modlić się, żeby się ludziom pokazać. Zaprawdę, powiadam wam: otrzymali już swoją nagrodę. Ty zaś, gdy chcesz się modlić, wejdź do swej izdebki, zamknij drzwi i módl się do Ojca twego, który jest w ukryciu. A Ojciec twój, który widzi w ukryciu, odda tobie. Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo¹ będą wysłuchani. Nie bądźcie podobni do nich! Albowiem wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba, wpierw zanim Go poprosicie. Wy zatem tak się módlcie: Ojciec nasz, który jesteś w niebie, niech się święci imię Twoje! Niech przyjdzie królestwo Twoje; niech Twoja wola spełnia się na ziemi, tak jak i w niebie. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj; i przebacz nam nasze winy, jak i my przebaczymy tym, którzy przeciw nam zawinili; i nie dopuść, abyśmy ulegli pokusie, ale nas zachowaj od złego! Jeśli bowiem

przebaczycie ludziom ich przewinienia, i wam przebaczy Ojciec wasz niebieski. Lecz jeśli nie przebaczycie ludziom, i Ojciec wasz nie przebaczy wam waszych przewinień” (Mt 6, 5-15)

Pewnego wieczoru dziadek, opiekujący się wnuczką pod nieobecność jej rodziców, przechodząc obok pokoju dziewczynki, usłyszał, jak ta powtarza w kółko na głos alfabet. - Co ty wyprawiasz? – zapytał. - Odmawiam modlitwę – wyjaśniła dziewczynka. - Przecież ty mówisz alfabet! Nie rób sobie żartów z Pana Boga – zaprotestował dziadek. – Ale ja nie żartuję. Dziś nie przychodzą mi do głowy żadne słowa, więc tylko mówię głośno wszystkie litery alfabetu. Pan Bóg je za mnie sam poukłada.

Trzeba mieć serce dziecka, by tak traktować modlitwę. A my wciąż udajemy przed Panem Bogiem dorosłych i dlatego modlitwa jest dla nas taka trudna. Często ją opuszczamy, przestajemy się modlić. Ktoś opowiadał, że przeczytał w życiorysie Gandhiego o rozmowie tego wielkiego przywódcy Indii z pewną kobietą. Ta wyznała mu, że już od dawna przestała się modlić. Zapytana o to, dlaczego nie znajduje czasu na to najważniejsze wydarzenie w ciągu dnia, odpowiedziała, że nie chce oszukiwać samej siebie i dlatego się nie modli. Wtedy Gandhi miał jej odpowiedzieć, by właśnie przestała oszukiwać samą siebie i zaczęła się znów modlić.

Papież Benedykt XVI mówił do młodych w Kolonii: „Może ktoś z was mógłby wziąć do siebie słowa Edyty Stein, która przebywała później w Karmelu w Kolonii, a która tak mówiła o swym dojrzeniu: "Świadomie i dobrowolnie straciłam nawyk modlitwy". W czasie tych dni będziecie mogli przeżyć przejmujące doświadczenie modlitwy jako dialogu z Bogiem, który - jak wiemy - miłuje nas i którego my ze swej strony chcemy miłować. Pragnę wszystkim powiedzieć z naciskiem: otwórzcie na oścież wasze serca Bogu, pozwólcie się zaskoczyć Chrystusowi! Przyznajcie mu "prawo mówienia do was" w tych dniach!"

Podczas Jubileuszu Młodych w roku 2000 w Rzymie, pewna grupa młodych Polaków wyruszyła w pielgrzymce do Bazyliki św. Piotra. Powoli, stojąc w kolejce do wejścia za innymi grupami, zbliżali się do wejścia przez Drzwi Święte. Kiedy znaleźli się w środku tej monumentalnej świątyni, zamiast z czasem udać się po krótkiej modlitwie do wyjścia, by zrobić miejsce dla innych, mogli spokojnie bez problemów, usiąść sobie z boku, wsłuchując się w modlitwę płynącą z głośników. Nie było to planowane. Nikt się nie umawiał. A jednak ponad 40 osobowa grupa intuicyjnie wyczuła, że to jest wyjątkowy czas na modlitwę. Minęła ponad godzina, kiedy wyszli. Wielu młodych miało łzy w oczach. Na twarzy każdego malowało się wzruszenie. Nikt nic nie mówił. Coś się wydarzyło. Po powrocie na miejsce noclegu do szkoły, w jednej z dzielnic Rzymu, wszyscy zebrali się znowu w kącie sali gimnastycznej, zamienionej tymczasem na halę noclegową. Większość dzieliła się doświadczeniem tej wyjątkowej modlitwy przeżytej w Bazylice na Watykanie. „To było coś mistycznego” – mówili niektórzy. Niby nic się nie stało, nic wielkiego, zwyczajna modlitwa, a jednak każdy został głęboko poruszony.

Kiedy się nie modlimy, nie tylko tracimy okazje do przeżycia wyjątkowego czasu. Przede wszystkim oszukujemy samych siebie, kiedy uciekamy od naszych codziennych spotkań z Panem Bogiem. Więcej. Kiedy przestajemy się modlić, nasze życie zaczyna się dusić. Pewien student napisał maila do jednego księdza: „Moja matka mnie zadusiła, bo nie nauczyła mnie modlitwy na kolanach. Moi nauczyciele religii mnie zadławili, opowiadając wyłącznie o narkotykach i seksie. A ksiądz się jeszcze dziwi, że mam duszności...” (*Daniel Ange, Modlitwa – oddech życia, Wydawnictwo Księży Marianów, Warszawa 2006*).

Nasze ciało umiera bez oddychania. Nasza dusza nie może się obyć bez modlitwy. Dlaczego nie umiemy się skupić, dlaczego wciąż jesteśmy zaniepokojeni, ciągle na coś czekamy, albo przed czymś uciekamy? Tak, jakbyśmy się dusili albo ktoś nas dusił, a my rozpaczliwie chcemy nabrać jeszcze trochę powietrza do płuc i jeszcze trochę... Albo inni są apatyczni, obojętni na to, co się dzieje, pozwalający wszystkim i wszystkiemu kierować własnym życiem? Tak, jakby już byli przyduszeni, jakby już oddawali ostatnie tchnienia...

Ale my nie rozumiemy, że problemem podstawowym jest to, że nie modlimy się, że nie oddajemy kilku czy kilkunastu minut dziennie dla Pana Boga. Tak trudno w to uwierzyć, że modlitwa ma sens. Ona naprawdę działa. Należymy już do pokolenia, które nie umie czekać. Dla którego wszystko musi być już i szybko, i skutecznie. Klikam myszką komputerową i wyskakuje na pulpicie to, o co mi chodzi. Przyciskam kontakt i natychmiast musi świecić się światło. Wybieram numer w telefonie komórkowym i bezwzględnie ten, do którego dzwonię, musi się odezwać, nieważne co robi. Ja teraz muszę z nim rozmawiać.

Osiągnięcia techniki sprawiły, że to, co nie daje natychmiastowego efektu już nie interesuje tak człowieka, nie jest według niego prawdziwe. Prawdziwe staje się to, co jest skuteczne natychmiast. Tymczasem była, jest i będzie właściwa inna zasada: Skuteczne, choć nie od razu, jest tylko to, co jest prawdziwe! Prawda, dobro, piękno, szczęście wymagają czasu i wysiłku. Nie ma łatwej i natychmiastowej prawdy, dobra, piękna i szczęścia. Jest tylko łatwe i szybkie kłamstwo, zło, brzydota i nieszczęście. W życiu działa tak naprawdę tylko ewangeliczne „prawo ziarna”. To banalny przykład, ale trzeba go przywołać, ponieważ o tym zapominamy. Jeśli rolnik wsieje ziarno w ziemię i za kilka nawet dni, chciałby zbierać już kłosa i urządzać żniwa, byłby śmieszny. On wie, że ziarno wpadłszy w ziemię, musi obumrzeć i poleżeć w owej ziemi jakiś czas, a potem dojrzywać w kłosie też jakiś czas, by ziarno nadawało się do żniwa. Jezus nawiązuje w swym nauczaniu do tego obrazu: „*Jeśli ziarno pszenicy wpadłszy w ziemię nie obumrze, zostanie tylko samo, ale jeśli obumrze, przynosi plon obfity*” (J 12, 24).

Oto tajemnica szczęśliwego życia. Jestem szczęśliwy, kiedy nie czuję się samotny. Kiedy jestem samotny? Kiedy nie godzę się na to, by obumierać, by czekać, by mieć czas na dojrzywanie w sobie, by potem móc obfitować życiem, czyli być szczęśliwym. Takie jest „prawo ziarna”, czyli ewangeliczne prawo życia. Gdyby ziarno wrzucone w ziemię nie obumarło, nie wydałoby plonu. Leżałoby w ziemi samotne i w ciemności. Skoro obumarło, w kłosie pojawiło się mnóstwo innych ziaren, pojawiła się wspólnota. Ziarno nie jest już samotne.

By moje życie było szczęśliwe, bym nie czuł się samotny, muszę podarować sobie codziennie chwile osobne z Panem Bogiem. On jest tą moją ziemią, w którą mam się „wrzucać” codziennie, w której mam obumierać dla Niego – słuchając Jego marzeń o moim życiu - by każdy dzień owocował nowymi żniwami. Bez czasu spędzonego z Nim wspólnie na modlitwie, na tej miłosnej rozmowie – nie będzie cieszyć mnie życie.

Pewien kapłan – studiujący w Paryżu - opowiadał, że chciał się spotkać ze znanym francuskim naukowcem, który miał mu pomóc znaleźć materiały pomocne temu kapłanowi w pisaniu jego pracy doktorskiej. Ów człowiek był popularną i bardzo zajętą osobistością świata kultury i nauki. Udało się im krótko porozmawiać na spotkaniu towarzyskim u znajomych. Ksiądz poprosił o wskazanie jakiegoś najbliższego terminu, by mogli dłużej porozmawiać. Naukowiec przeglądał notes, szukając wolnego terminu. Ponieważ nie robił tego dyskretnie, lecz otwarcie pokazywał zapisany kalendarz, kapłan zauważył, że w każdy wtorek tygodnia wieczorem nie było zanotowanej żadnej innej uwagi oprócz uśmiechniętego słoneczka. Ponad sześćdziesięcioletni już Francuz zauważył zaciekawienie księdza owym słoneczkiem i powiedział: „Nie, proszę księdza, wybacz ksiądz, ale wtorki są zawsze zajęte dla mojej żony. Albo wychodzimy gdzieś razem na spacer lub na samotną kolację poza domem, albo dzieci zostawiają nas samych w domu i wiedzą, że mogą wrócić tylko w określonym czasie. Bez tych spotkań i wspólnych rozmów nie przeżylibyśmy szczęśliwie już prawie czterdziestu lat”. Wciąż nie rozumiemy, że w modlitwie chodzi o czas i spotkanie.

Kardynał Joseph Ratzinger powołuje się w jednej ze swoich książek na bajkę austriackiego pisarza Michaela Ende pt. „Momo”. Bohatrką tej historii Momo, to dziewczynka, która nie wiadomo skąd pojawia się w mieście i swoją obecnością sprawia, że ludzie zaczynają być wobec siebie bardziej uważni i życzliwi, a ich świat staje się lepszy. Momo potrafi słuchać ludzi i całą sobą być dla innych. Dobru i pięknu zagrażają jednak szarzy panowie, agenci Kasy Oszczędności Czasu, a w istocie rzecznicy zła, samolubstwa i obojętności. Namawiają oni wszystkich do otwarcia rachunku „oszczędzania czasu”. Stratą czasu jest według tych panów: pomoc matce, spotkanie z przyjaciółmi, rozmowa z żoną, kwadrans na modlitwę, pół godziny u chorej sąsiadki, rozmowa ze znajomym na ulicy, zakup kwiatów, by je podarować kobiecie. Ci, którzy ciułają czas, mają więcej pieniędzy, lepszą pozycję zawodową. Jednak żyją wciąż w pośpiechu i zgorzknieniu. Okazuje się, że nie mieli nikogo, kto umiałby ich tak słuchać jak Momo, że stawaliby się mądrzejsi, lepsi i pogodni. „Czas to życie – powie Momo – a życie mieści się w sercu”. „Życie mieści się w sercu” i dlatego tak ważne jest, aby dbać o serce, czyli dbać o modlitwę. Kiedy papież Benedykt XVI przybył w 2006 roku do Polski powiedział takie słowa: „Świat, w którym jest tak wiele hałasu, tak wiele zagubienia, potrzebuje milczącej adoracji Jezusa ukrytego w hostii. (...) Modlitwa wymaga wysiłku. Podczas niej wydaje się, że Jezus milczy. On milczy, ale działa”.

Tu chodzi o miłość. Modlitwa jest spotkaniem osób, które się miłują. Bez spotkań osobistych miłość nie rozwija się, nie pogłębia, umiera. Jeśli się nie modlę, to nie dlatego, że nie mam czasu. Nie modlę się, bo

nie kocham Pana Boga i nie ma się co oszukiwać. Poeta – ks. Jan Twardowski, napisze w swoim wierszu: „Kto kocha, czas znajdzie..” Zawsze znajdziesz czas dla tego kogo kochasz, albo na to, co kochasz, na czym ci zależy. Przestańmy się oszukiwać. Nie modlimy się, bo nie kochamy Pana Boga, bo nam na Nim już tak nie zależy. Dlatego czas mamy na inne sprawy, na wszystkie inne sprawy – tylko zawsze jakoś tak braknie czasu na modlitwę. Popatrzmy na zakochanych. Nic nie jest ważne, tylko to, aby tak wszystko zorganizować, by się mogli spotykać. I to jak najczęściej i jak najdłużej. Potem miłość dojrzewa i wszystko nabiera pewnych proporcji. Ale jeśli już im przestaje na sobie zależeć, to czy z tej, czy z drugiej strony, pojawiają się trudności ze znalezieniem czasu, jakich wcześniej nie było.

Dlaczego ludzie zakochani czasem się rozstają? Ponieważ się sobą rozczarowują. Myśleli na początku, że to jest ta osoba, której szukali, za którą tęsknili, od której czegoś oczekiwali. A tymczasem przychodzi rozczarowanie. Nie, to jest jednak nie ta osoba. Nie taka, o jakiej marzyłem. Źle ją widziałem, oceniłem, nie znałem dobrze. Podobny problem mamy, gdy chodzi o modlitwę, gdy chodzi o nasze spotkania z Panem Bogiem.

Czy Bóg, w którego wierzę jest Osobą? W jakiego Pana Boga ja wierzę? Do jakiego Pana Boga ja się modłę? Kim jest i jaki jest ten Bóg, przed którym jeszcze klękam do modlitwy albo już tylko wzdycham do Niego w drodze do szkoły czy pracy? Jak wygląda mój Bóg? Czy to jest mój Bóg? Czy to naprawdę jest w ogóle Bóg? To bardzo ważne pytania, ponieważ od tego zależy najpierw to, czy będę chciał się modlić, a następnie jaka będzie ta moja modlitwa?

Z pomocą przychodzi nam Pan Jezus w przeczytanej wcześniej Ewangelii. Czytamy w niej: „(...) Jezus przebywał w jakimś miejscu na modlitwie” (por. Łk 11, 1). Jezus jest Człowiekiem modlitwy. Okazuje się, że modlił się „w jakimś miejscu”. Cały czas i w każdym miejscu może i nawiązuje dialog z Bogiem. Apostołowie widzą, że Jezus bardzo często prowadzi miłosny dialog ze swoim Ojcem. Widzą, że stąd czerpie On siłę i moc – jako człowiek – do tego, by mieć pokój w sobie, by mieć dystans do swoich przeciwników, by kierować swoim życiem zgodnie z wolą Bożą, by ewangelizować. Oni też tak chcą, dlatego proszą Jezusa: „Panie, naucz nas modlić się” (por. Łk 11, 1).

Papież Jan Paweł II w Orędziu na XIV Światowy Dzień Młodzieży w 1999 roku napisał: „Od chwili wcielenia istnieje ludzkie oblicze, w którym można ujrzeć Boga: “Wiercie Mi, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie” (J 14, 11) – mówi Jezus już nie tylko do Filipa, ale do wszystkich, którzy uwierzą. Od tamtego czasu między stworzeniem a Stwórcą może istnieć nowa relacja – relacja dziecka z Ojcem: kiedy uczniowie pragnący wnikać w Boże tajemnice proszą Jezusa, aby nauczył ich modlitwy, która będzie dla nich oparciem w życiu, Jezus w odpowiedzi uczy ich “Ojciec nasz” – “syntezy całej Ewangelii” (Tertulian, De oratione, 1). Znajduje w niej potwierdzenie nasza kondycja synów (por. Łk 11, 14). “Z jednej strony, przez słowa tej modlitwy Jedyne Syn przekazuje nam słowa, które dał Mu Ojciec: On jest Nauczycielem naszej modlitwy. Z drugiej strony, jako Słowo Wcielone, Jezus zna w swoim ludzkim sercu potrzeby swoich braci i siostr oraz objawia je nam: On jest wzorem naszej modlitwy” (KKK, 2765).

Jezus jest wzorem modlitwy, Jemu się przyglądamy. On jest Tym, którego mamy naśladować. Nie porównujemy się z tymi, którzy się nie modlą. To nie jest nasza miara. Naszą miarą postępowania ma być Jezus Chrystus. Miarą i wzorem naszej modlitwy ma być modlitwa Jezusa.

Co więc odpowiada Apostołom i nam Jezus, jak się mamy modlić? „*Kiedy się modlicie, mówcie: Ojciec*” (por. Łk 11, 2). Ojciec! To jest pierwsze w modlitwie! Osoba Żywego Boga! Nie jest to bóg, którego sobie sami tworzymy, a którego wtedy tak naprawdę nie ma. To jest Bóg, który nas stworzył i tylko ten jest jedyny i prawdziwy. Ten, którego objawił nam Jezus. On jest Ojcem Jezusa – Jedyne Swego Syna, ale w Jezusie jest też naszym Ojcem. I tylko w Jezusie Bóg jest naszym Ojcem. Aby wyjaśnić tę kwestię, jeden z największych teologów współczesnych, Karl Rahner, przywołuje dwie znane historie. Jedna z nich, to „Piękna i bestia”. Druga, to „Maska”. W tej pierwszej, z pewnych przyczyn dziewczyna ma w niej poślubić potwora, bestię – i tak się staje. Dziewczyna całuje go tak, jakby był człowiekiem. Wówczas, ku jej uldze i radości, bestia rzeczywiście zamienia się w człowieka i wszystko dobrze się kończy.

Druga historia opowiada o człowieku, który musiał nosić maskę. W niej wyglądał znacznie ładniej niż w rzeczywistości. Musiał ją nosić przez całe lata. A kiedy ją zdjął, przekonał się, że jego własna twarz dopasowała się do kształtu maski. Ten człowiek stał się naprawdę piękny. Przebranie stało się rzeczywistością.

Czym jest chrześcijaństwo? Co zrobił Jezus? – pyta Karl Rahner. Chrześcijaństwo to pewność, że odmawiając modlitwę „Ojcze nasz”, mówię prawdę. Co znaczą słowa „Ojcze nasz”? Znaczą tyle, że stawiam się w pozycji Syna Boga. Mówiąc prosto z mostu – podaję się za Chrystusa. Udaję, że nim jestem. Bo przecież muszę sobie zdawać sprawę, że nie jestem Synem Boga. Nie jestem podobny do Bożego Syna. Jestem skazanym na śmierć, ze względu na swe grzechy, jestem kłębkim leków i płataniną pychy. Podawanie się więc za Chrystusa jest skandaliczną bezczelnością. Ale to właśnie sam Jezus Chrystus nakazał nam tak czynić.

I co się dzieje? Sam Chrystus, Syn Boży, który jest człowiekiem (tak samo jak ty i ja) i jest równocześnie Bogiem (tak samo jak Ojciec), staje u twego boku i pomaga ci zamieniać udawanie w rzeczywistość. Wierząc w Jezusa Chrystusa Syna Bożego, Zmartwychwstałego, stajemy się podobni do Niego i w Nim podobamy się Bogu Ojcu. W Chrystusie możemy wołać „Abba-Tatusiu”. Nasze życie ukryte jest z Chrystusem w Bogu” (Kol 3, 1), powie św. Paweł. Możemy się przez wiarę schować w Chrystusa, jak za maskę i udawać, że Nim jesteśmy. Ojciec Niebieski patrząc więc na nas widzi swojego jedyne Syna.

Oczywiście On to wszystko wie, ale w swej miłości zgadza się na to, bo jest to jedyny sposób, byśmy mogli stawać przed Bogiem – przez Chrystusa, z Chrystusem i w Chrystusie. My będąc w takiej bliskości Chrystusa, mamy naśladować Go i stawać się do Niego podobnym. A Chrystus swoją miłością, pocałunkiem, jaki od Niego otrzymujemy podczas każdej modlitwy czy adoracji, sprawia, że my – będący strasznymi bestiami z powodu naszych grzechów – przemieniamy się w ludzi stworzonych na podobieństwo Boga. Po to jest potrzebna nam modlitwa. Najpierw jest możliwa, dzięki Chrystusowi i Jego miłosierdziu względem nas. Następnie jest potrzebna, byśmy mogli nieustannie się przemieniać z grzeszników w dzieci Boże.

Wielkie znaczenie ma na modlitwie obraz Boga, jaki nosimy w sercu. Bardzo często, nawet w sposób nieuświadomiony, przerzucamy na Boga Ojca nasze doświadczenie ojcostwa, które wynieśliśmy z domu. Dotyczy to także doświadczenia macierzyństwa, ale najczęściej jednak ojca. Myślimy o Bogu, jak o naszym ziemskim ojcu. Wydaje się nam, czy czujemy to bezwiednie, że skoro nasz ojciec był nieobecny, nie interesował się nami, nie okazywał nam swych uczuć, nie umiał z nami rozmawiać – więcej: był wobec nas brutalny, wulgarny, przychodził do domu pijany, znęcał się nad nami i naszą mamą, może nawet wykorzystywał nas czy molestował – to myślimy, że taki jest też ten Ojciec niebieski. Niejednokrotnie na modlitwie mówimy „Ojcze”, a myślimy zgoła o kimś innym. Na przykład, modlę się „Ojcze nasz”, a wyobraźnia serca mówi: „Nasz Sędzio, który zasiadasz na trybunale”, „Nasz Dostawco, który wystawiasz faktury”, „Nasza Pierwsza Przyczyna, której jesteśmy zagubionym skutkiem”, „Nasz Nauczycielu, który wystawiasz nam oceny za zadania”, „Nasz Towarzyszu, z którym walczyliśmy o coś więcej niż wolność”, „Nasz Monarcho, przed którym jesteśmy zaledwie prochem” itp.

Tymczasem ma być odwrotnie. To nie Ojciec Niebieski jest taki jak nasi ojcowie, to nasi ojcowie mają się stawać na wzór Ojca Niebieskiego. To od Niego, jak czytamy w Piśmie Świętym, „pochodzi wszelkie ojcostwo w niebie i na ziemi”. „Bóg bardzo zaryzykował - jak powie św. Teresa od Dzieciątka Jezus – każąc siebie nazywać Ojcem”. Ale tak chciał, bo taka jest prawda. On jest prawdziwym i jedynym Ojcem. Wszyscy inni ojcowie mają z Niego czerpać wzór i siłę do realizowania swojej misji ojcowskiej.

My powinniśmy wykonać potężną wewnętrzną pracę, by negatywny – mniej czy bardziej – obraz Ojca w sobie odfalszować. To jest pierwszy warunek modlitwy, której uczy nas Jezus. Mamy modlić się do Ojca, a nie do Jego karykatury, fałszywego, zniekształconego naszym doświadczeniem życiowym, Jego obrazu. To praca na całe życie, ponieważ wciąż nam grozi powrót w naszych wyobrażeniach i modlitwie do pierwszej wersji obrazu Boga. Zwłaszcza w trudnych chwilach życia, w przeciwnościach losu, cierpieniu czy śmierci kogoś bliskiego, spontanicznie lubimy wracać do naszych pierwszych skojarzeń i doświadczeń z Panem Bogiem. Gotowi jesteśmy wtedy odnosić się do Niego jak do naszego ojca ziemskiego albo przeczuwamy, że On będzie nas traktował tak, jak nasi rodzice nas traktowali, a zwłaszcza ojciec.

Tymczasem Jezus mówi: „Wołajcie, módlcie się do Boga nie tyle Ojcze, ile Abba –Tatusiu!” Tak żaden ówczesny Izraelita nie śmiał zwracać się do Boga – „Tatusiu”. To była rewolucja w modlitwie, jaką zaproponował Pan Jezus. Bo taka jest prawda. Bóg jest najlepszym Ojcem, wzorem Ojca, a więc kochanym „Tatusiem”. Tak woła małe dziecko do taty ziemskiego. W czasie zwiedzania Jerozolimy, jeden z pielgrzymów przeżył tę prawdę osobiście. Idąc ulicą pełną ludzi zobaczył młodego chłopca jadącego na wózku inwalidzkim. Poruszał się on popychając koła własnymi rękami. Przed nim podążał mężczyzna w sile wieku, torując mu drogę. W pewnej chwili chłopiec zawołał w kierunku mężczyzny jedno słowo: „Abba!”

Mężczyzna odwrócił się i podszedł do chłopca pochylając swoją twarz do twarzy chłopca. Po krótkiej rozmowie, ojciec poprawił chłopcu koc na wózku i ruszyli w dalszą drogę.

Skoro Bóg jest „Tatusiem”, to ja jestem Jego dzieckiem! To oszałamiająca prawda, do której brzmienia, zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Ale tu nie chodzi nawet o brzmienie. Jak powie św. Jan Apostoł w swoim liście: „Zostaliśmy nazwani dziećmi Bożymi i rzeczywiście nimi jesteśmy” (1 J 3,1). Rzeczywiście nimi jesteśmy! Jesteśmy dziećmi Boga w Chrystusie! Mamy więc takie prawa i przywileje oraz obowiązki jak dzieci. Jesteśmy kochani, i to naprawdę, i na zawsze, i za darmo, bo kocha nas Ojciec Niebieski, prawdziwy Ojciec. Mamy prawo liczyć na pomoc Ojca, na Jego życzliwość, przychylność. Nie musimy mieć wątpliwości czy jest po naszej stronie. Nie musimy się czuć upokorzeni, że nam pomaga, nie musimy się wstydzić przyjść do Niego, gdy coś nie wychodzi. Choć wiemy, że czegoś nam zabronił, przed czymś ostrzegwał, a my jednak nie posłuchaliśmy Go, to jednak biegniemy do Niego, by Go przeprosić, i by otarł nasze łzy oraz brud grzechu. Tak zachowują się małe dzieci. Jedynym obowiązkiem małych dzieci, który jednak spontanicznie rodzi się w sercu, to pozwolić się kochać tatusiowi i słuchać jego słów. I to naprawdę jest jedyny nasz obowiązek przed Bogiem – „Tatusiem”. Pozwolić się Mu kochać, przychodząc codziennie do Niego na kolana na modlitwę i słuchać, a potem posłuchać tego, co ma swoim dzieciom do powiedzenia. Najgorsze, co nam się może przytrafić, to przestać być dziećmi przed Bogiem, udawać przed nim dorosłych. To dla nas zawsze boleśnie się kończy.

„Ojciec nasz” jest nazwane Modlitwą Pańską, ponieważ nauczył nas jej Pan Jezus. Od niej też pochodzi słowo „pacierz”. W języku łacińskim bowiem „Ojciec nasz” znaczy „Pater noster”. Tak więc od słowa łacińskiego „Pater”, powstało słowo „pacierz”. W tym miejscu należy wspomnieć o pacierzu, o naszej codziennej modlitwie porannej czy wieczornej. Wielu ją lekceważy, często zaniedbuje. Tymczasem warto odkryć na nowo, że tej modlitwy nauczył nas sam Boży Syn. Ta modlitwa została nam dana z samego Serca Boga. Nie są to słowa kogokolwiek. To są słowa, które mają moc i znaczenie. Oczywiście, nasze życie modlitwy należy ubogacać, rozwijać, formować. Niemniej nie pozbawiamy się tego przywileju, że możemy codziennie wypowiadać słowa, które wypowiedział Jezus Chrystus, a które same w sobie są źródłem wielkiego błogosławieństwa, pochodzącego od Ojca, który jest w niebie.

DZIEŃ SZÓSTY

INTENCJA: Modlimy się o święte powołania do służby Bożej

MUZYKA ŻYCIA, CZYLI O TAŃCU Z BOGIEM

„W szóstym miesiącu posłał Bóg anioła Gabriela do miasta w Galilei, zwanego Nazaret, do Dziewicy poślubionej mężowi, imieniem Józef, z rodu Dawida; a Dziewicy było na imię Maryja. Anioł wszedł do Niej i rzekł: «Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą,». Ona zmieszała się na te słowa i rozważała, co miałyby znaczyć to pozdrowienie. Lecz anioł rzekł do Niej: «Nie bój się, Maryjo, znalazłaś bowiem łaskę u Boga. Oto poczniesz i porodzisz Syna, któremu nadasz imię Jezus. Będzie On wielki i będzie nazwany Synem Najwyższego, a Pan Bóg da Mu tron Jego praojca, Dawida. Będzie panował nad domem Jakuba na wieki, a Jego panowaniu nie będzie końca». Na to Maryja rzekła do anioła: «Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?» Anioł Jej odpowiedział: «Duch Święty zstąpi na Ciebie i moc Najwyższego osłoni Cię. Dlatego też Święte, które się narodzi, będzie nazwane Synem Bożym. A oto również krewna Twoja, Elżbieta, poczęła w swej starości syna i jest już w szóstym miesiącu ta, która uchodzi za nieplodną. Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego». Na to rzekła Maryja: «Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według twego słowa!» Wtedy odszedł od Niej anioł” (Łk 1, 26-38)

Pilot helikoptera zgubił się we mgle w przestrzeni powietrznej. Nagle z mgły wyłania się wieżowiec. Pilot wiedząc, że ma mało paliwa, chwytając megafon i krzyczy do jednego z ludzi, który wygląda przez okno: „Gdzie ja jestem?” Człowiek w oknie ze stoickim spokojem odkrzyknął: „Jesteś w helikopterze”. Uśmiechamy się na taką odpowiedź. Niemniej w rzeczywistości współczesny człowiek często w taki sposób żyje. Odpowiada sobie tylko na proste pytania i to takie, na które zna odpowiedź. Ale takie oczywiste odpowiedzi niczego nowego nie wnoszą do naszego życia.

Kiedy wsłuchamy się dokładnie w nasze serce, to usłyszymy, że zadaje ono dwa rodzaje pytań: „dlaczego?” Pierwsze już poznaliśmy. Jest to „dlaczego?” tylko na naszą ludzką miarę. Odpowiedzi mówią o

rzeczach oczywistych: „Jesteś w helikopterze”. Czyli dowiadujemy się tylko: dlaczego przedmioty spadają, dlaczego woda paruje, dlaczego ziemia się kręci wokół własnej osi itp. Te odpowiedzi są ważne, ale w perspektywie całego życia są banalne. Jest jeszcze inne „dlaczego?”, które pyta o to, co nas przewyższa, co jest tajemnicą: „Dlaczego istnieję, kim jestem, dokąd zmierzam, czym jest cierpienie, śmierć?”

Na to „dlaczego?”, dotyczące tego, co jest spoza nas, człowiek ma trzy rodzaje odpowiedzi. Niektórzy uciekają od szukania odpowiedzi na to „dlaczego?”. Tłumaczą się brakiem czasu na refleksję, twierdzą, że takie pytania są absurdalne, wpadają w rozpacz albo zawieszają sąd. Inni próbują stawiać w życiu na wartości typowo ludzkie. Ich odpowiedzią staje się zaangażowanie na rzecz sprawiedliwości społecznej albo służba rodzinie, czy też zaangażowanie w kulturę i sztukę. Zawsze to bardziej szlachetne niż nihilizm czy bierność, niemniej to jest wciąż za mało, gdy chodzi o pragnienia naszego serca.

Papież Benedykt mówił o tym do młodych w Madrycie: „Tak, wielu jest takich, którzy tworząc sobie bożków myślą, że nie potrzebują korzeni ani też fundamentów, poza samymi sobą. Chcieliby sami z siebie decydować, co jest prawdą, a co nie, co jest dobre lub złe, słuszne i niesłuszne; decydować, kto godny jest życia, a kto może być poświęcony na ołtarzu innych perspektyw; za każdym razem stawiać krok przypadkowo, bez wytyczonej trasy, kierując się impulsem chwili. Te pokusy zawsze są zasadzką. Ważne, ażeby nie wpaść w nie, bo w rzeczywistości prowadzą do czegoś ulotnego, jak życie bez horyzontów, wolność bez Boga”.

Trzecią zaś możliwość odpowiedzi na najpoważniejsze „dlaczego?” w naszym życiu uwzględniają ludzie wierzący. Otwierają się na Boga. Można tutaj wybrać dwie możliwości: albo sam nadaje sens memu życiu pod opieką Boga, albo pozwalam, by sam Bóg wskazał mi powołanie. Wielu z nas wybiera odpowiedź, która jest spoza nas – tak, chcę w moim życiu uwzględniać Boga. Niemniej część nie przyjmuje nawet do świadomości, żeby to sam Bóg decydował o naszym życiu. Kiedyś pewien znany aktor, przyznający się do wiary w Boga, został zapytany przez dziennikarza, jaką rolę Bóg odgrywa w jego życiu. Wówczas aktor zaskoczył pytającego, odpowiadając, że Bóg w jego życiu nie odgrywa żadnej roli. I widząc zaskoczoną minę dziennikarza dopowiedział: „Ja chcę, by Bóg był reżyserem mojego życia, a nie odgrywał w nim tylko jakąś jedną z ról.”

Dlaczego boimy się zawierzyć Bogu, pozwolić Mu, by był reżyserem naszej codzienności? Ponieważ nosimy w sobie zafalszowany Jego obraz. Warto tutaj powołać się na przypowieść o talentach. Czytamy w niej, że pewien człowiek wybrał się w podróż i przekazał swój majątek swoim sługom. Jeden otrzymał pięć talentów, drugi dwa talenty, a trzeci jeden. Pierwszych dwóch puściło w obieg otrzymane talenty i je pomnożyło. Ten, który otrzymał jeden talent, rozkopał ziemię i ukrył w niej własność pana. Kiedy pan powrócił nagroził dwóch pierwszych za pomnożenie talentów. Trzeci zaś tłumaczył się w ten sposób: „Wiedziałem, żeś jest człowiek twardy, zniesz tam, gdzie nie posiałeś, i zbierasz tam, gdzie nie rozsypałeś. Bojąc się więc, poszedłem i ukryłem twój talent w ziemi. Oto masz swoją własność” (por. Mt 25, 24). Za takie tłumaczenie spotkała go reprimenda i wyrzucenie poza granice królestwa.

W czym jest problem? W fałszywym obrazie pana. Ten z przypowieści, udający się w podróż, to sam Bóg. Ten zły i gnuśny sługa, to ktoś, kto ma fałszywy obraz Boga, jako groźnego, wymagającego i niesprawiedliwego władcy. To czyni jego serce niewdzięcznym i pełnym lęku. Co to znaczy, że zakopał w ziemi talent? Jest jeszcze jedno miejsce w Biblii, gdzie jest mowa o zakopywaniu w ziemi. W księdze Powtórzonego Prawa Bóg nakazuje Izraelitom dbać o czystość obozu. „Będziesz miał miejsce poza obozem i tam poza obóz będziesz wychodził. Zaopatrzysz się w kołek, a gdy wyjdiesz na zewnątrz, wydrążysz w nim dołek, a wracając przykryjesz to, czegoś się pozbył” (Pwt 23, 13-14). Czym jest więc zakopanie talentu w ziemi? Jest potraktowaniem go jako nieczystości. Mamy na to dosadniejsze powiedzenia. Ale nie trzeba się bać, by właśnie w ten sposób pomyśleć. Jeśli ktoś zakopuje swoje talenty, nie jest wdzięczny wobec Boga, za to, co od Niego otrzymał, to traktuje Boże dary właśnie w ten sposób – jako coś do wyrzucenia, coś co jest odpadem. Ponadto w wersji ewangelisty św. Łukasza, talenty są nazywane minami (por. Łk 19, 11nn). I ten, który schował minę, zawinął ją w chustę. Taką samą nazwę ma też chusta, w którą zawijało się ciało zmarłego. Ten sługa potraktował dar od Boga jako coś martwego, nieprzydatnego.

Tak, możemy bać się Boga i chociaż po swojemu wierzymy w Niego, to możemy nie wierzyć Jemu. Możemy się bać służyć Jemu, chociaż chcemy, żeby On służył nam. Te lęki, które nas powstrzymują w zawierzeniu naszego życia Bogu również możemy nazwać i sprowadzić do pięciu podstawowych. Warto te lęki w nas rozpoznać, by później móc się z nimi zmierzyć, za pomocą Bożej łaski.

Pierwszy lęk, powstrzymujący nas przed oddaniem swego życia w ręce Boga, to lęk niebycia szczęśliwym. Wydaje nam się, że życie z Bogiem pozbawi nas szczęścia, że będzie nudne i monotonne. Tymczasem już wiemy, że „szczęście ma Imię i Oblicze” naszego Boga. Że tak naprawdę tylko więź z Nim daje gwarancję szczęścia.

Drugi lęk, to lęk przed utratą wolności. Sądzymy czasem fałszywie, że służba Bogu nas ogranicza i zniewala. Tymczasem, kto zobowiązał się do życia z Bogiem stał się naprawdę wolny. Wolność, owszem, zakłada możliwość wyboru. Ale nie każdy wybór jest już wolnością. Kiedy bowiem wybieram zło, popełniam grzech, to czynię się niewolnikiem grzechu. Pozbawiam się wolności. Kiedy wybieram Boga i Jego Ewangelię, wówczas wybieram dobro i zawsze jestem wolny, coraz bardziej wolny.

Trzeci lęk, to lęk pomylenia drogi. Jeśli wybierasz drogę zgodną z Ewangelią, to nawet jeśli trochę źle ją rozpoznałeś, jednak swoją drogę Bóg pobłogosławi. Nie można wybrać drogi zła, grzesznej drogi. To jest porażka, a nawet niejednokrotnie katastrofa. Kiedy wybieram dobrą drogę, Bóg będzie mnie prowadził. Jeśli nawet z różnych względów pomyłę drogę, wtedy zapewni mi najlepszy duchowy GPS i powie „zawróć”, a z Nim zawsze to będzie możliwe.

Czwarty lęk, to lęk braku. Boimy się, że żyjąc ewangelicznie, będziemy pozbawieni relacji, uczuć. Małżeństwo ograniczy mnie do jednej tylko relacji, a ja mam tylu znajomych. To mnie ograniczy. Kapłaństwo tym bardziej – żadnych relacji i związków emocjonalnych. Bez tego trudno żyć. Tymczasem pójście drogą powołania małżeńskiego czy kapłańskiego bądź zakonnego wcale nie pozbawia nas wchodzenia w relacje z innymi, nie ogołaca nas z uczuć czy pięknych przyjaźni. Kto wybiera życie z Jezusem stokroć więcej otrzyma teraz, w tym czasie braci, sióstr, dzieci, pól i życie wieczne odziedziczy (por. Mk 10, 30).

Taką piękną perspektywę powierzenia swego życia Jezusowi kreślił przed młodymi w Rzymie Ojciec święty Jan Paweł II. „W rzeczywistości, kiedy marzycie o szczęściu, szukacie właśnie Jezusa. To On na Was czeka, gdy nic z tego, co znajdujecie, nie zadowala was. To On jest pięknem, które tak Was pociąga. To On wzbudza w Was pragnienie radykalności, które nie pozwala Wam iść na kompromisy. To On pobudza Was do zrzucania masek, które czynią życie fałszywym. To On budzi w sercach decyzje najbardziej autentyczne, które inni chcieliby przytłumić. To Jezus wzbudza w Was pragnienie, byście uczynili ze swojego życia coś wielkiego. Budzi w Was wolę pójścia za ideałem. Skłania do tego, byście nie dali się pochłonać przeciętności. Wzbudza odwagę pokornego i wytrwałego zaangażowania, by ulepszać samych siebie i społeczeństwo, czyniąc je bardziej ludzkim i braterskim”.

Wreszcie piąty lęk, który nas powstrzymuje, by naprawdę oddać ster swego życia Bogu, to lęk, aby od nas zbyt wiele nie wymagano. Myślimy, że nas nie będzie stać na dobre i piękne życie. Może innych tak, ale nie nas. Tymczasem Bóg kiedy powołuje do konkretnego życia, wówczas daje do tego, by je właściwie przeżyć, stosowną łaskę i siłę. Okazuje się, że wszystkie te lęki naprawdę znikają, kiedy zmieniamy w naszym sercu obraz Boga, kiedy odkrywamy Go, jako Boga miłującego. Kiedy robimy miejsce dla Bożej miłości w nas, wtedy uciekają wszelkie lęki. Dlaczego? Ponieważ „doskonała miłość usuwa lęk”(1 J 4, 18).

Nasze życie w zaufaniu Bogu tylko zyskuje, niczego nie traci. Tak o tym mówił papież Benedykt XVI w Madrycie: „My natomiast dobrze wiemy, że zostaliśmy stworzeni jako istoty wolne, na obraz Boga, właśnie dlatego, że uczestniczymy w poszukiwaniu prawdy i dobra, jesteśmy odpowiedzialni za nasze czyny, a nie tylko ślepych wykonawcami, jesteśmy twórczymi współpracownikami w zadaniu troski i upiększania dzieła stworzenia. Bóg pragnie odpowiedzialnego rozmówcy, kogoś, kto może z Nim prowadzić dialog i Go miłować”.

W jaki więc sposób wybierać, jak rozeznawać drogę, którą Bóg nam przygotował? Niech Mistrzynią rozeznawania będzie dla nas Maryja. Ona nie była bezwolną, ślepo posłuszną Bogu niewolnicą. Ona rozeznawała, szukała woli Bożej, nie wszystko od razu rozumiała. Dlatego warto się od niej uczyć. Maryja cały czas towarzyszy Światowym Dniom Młodzieży. Od Niedzieli Palmowej 2003 roku zaś razem z Krzyżem Światowych Dni Młodzieży wędruje z młodymi Maryja w Ikonie Matki Bożej Salus Populi Romani. Opiekunka Rzymskiego Ludu, bo tak można przetłumaczyć nazwę tego wizerunku, jest prawdopodobnie najbardziej ukochaną i czczoną ikoną maryjną w Rzymie. Znajduje się on w Capella Paolina w Bazylice Santa Maria Maggiore w Rzymie. Można zauważyć, że na ikonie, Jezus spoczywa na lewej ręce Najświętszej Maryi Panny, a Jego prawa ręka jest lekko wzniesiona w geście błogosławieństwa. W Jego lewej ręce trzyma On

księgę; wydaje się, że patrzy On na swoją Matkę; wzrok Maryi skierowany jest z kolei na ludzi. Nazwa, która jest nadawana tego typu maryjnemu wizerunkowi, to w ikonografii "Hodegetria", czyli wskazuje na Maryję, jako "Przewodniczkę Drogi". Patrzmy więc na Maryję i uczmy się, jak wybierać w życiu Boże drogi. Pomocą będzie nam Ewangelia Zwiastowania. Jest to jak najbardziej tekst o rozeznawaniu.

W filmie „Serce to samotny myśliwy” bohaterem jest głuchoniemy człowiek. Spotyka dziewczynę, która uwielbia muzykę, ale jest zbyt biedna, by móc chodzić do filharmonii. Nasz bohater funduje jej bilet na upragniony koncert. Po powrocie dziewczyna chce przedstawić swemu dobroczyńcy to, co przeżyła. Jak to jednak zrobić wobec głuchoniemego człowieka? I tutaj oglądamy jedną z najbardziej poruszających scen filmu. Otóż dziewczyna włącza gramofon z pieśniami z owego koncertu, sadza naszego bohatera na fotelu i poprzez taniec i gesty pragnie mu opowiedzieć muzykę i emocje, które przeżyła na koncercie. Wyjątkowa scena. Przedstawiać głuchoniememu muzykę za pomocą tańca.

Taka jest trochę nasza sytuacja. Nie jesteśmy zbyt wyczuleni na Bożą muzykę. Trochę jakby głusi. Nie słyszymy jej wyraźnie. Okazuje się tymczasem, że Bóg nasz jest „Bogiem tańczącym”. Tak mówi o Nim nasza teologia. W dogmatyce jedną z prawd o Bogu wyraża się za pomocą terminu „perychoreza”. To znaczy „przenikanie się” Bożych Osób w Trójcy Świętej. Nie jest to adekwatne tłumaczenie. Nie wiele nam zresztą mówi. Gdy jednak sięgniemy do tego greckiego słowa „perychoreza”, okazuje się, że pochodzi ono od słowa „taniec”. Stąd na przykład wywodzi się słowo „choreografia”, mówiące o reżyserowaniu tańca. Tak więc Osoby w Trójcy Świętej, jak sobie po ludzku wyobrażamy, jakoś tańczą. Ktoś powiedział, że Bóg Ojciec pisze od wieków partyturę, Syn Boży jest Mistrzem tańca, a Duch Święty jest samą Muzyką.

I oto ten nasz radosny, „tańczący Bóg” zaprasza nas do tańca ze sobą. Już tu na ziemi, ale także w wieczności. To nie jest tylko metafora. Czytamy w Apokalipsie, że jesteśmy zaproszeni na „gody Baranka” (por. Ap 19, 7), czyli na wesele. Trudno sobie inaczej wyobrazić niebo, niż jako nieustanne gody, wesele, taniec i muzykę. Rozeznawanie, szukanie drogi swego powołania, to właśnie nieustanne próby ze strony Pana Boga, by nam – trochę duchowo głuchoniemym - pokazywać na różne sposoby muzykę, której nie słyszymy bezpośrednio. Maryja okazuje się być najlepsza uczennicą. Potrafiła rozpoznać wszystkie osiem dźwięków, które tworzą swoistą gamę, którą powinniśmy niejako zagrać, by potwierdzić – tak, to są dźwięki od Pana Boga. Tak – to jest Jego pomysł na moje życie, a nie tylko mój. Scena Zwiastowania zawiera osiem momentów, niejako dźwięków, które trzeba wydobyć, by tak jak w życiu Maryi, „Słowo Boga stało się ciałem” w moim życiu. Jakie to są kryteria rozeznawania?

Pierwszy dźwięk gamy („do”), nawiązuje do słów: „Wszedł do Niej anioł”. To fundament rozeznawania, o którym już wspomnieliśmy. Pozwolić Bogu wejść do swego życia z propozycją. Jeśli ktoś chce żyć tylko według własnych zasad, albo chce w swoim życiu przypisywać Bogu tylko jakąś rolę, to nie wydarzy się w jego codzienności takie zwiastowanie. Bóg nie będzie nam składał na siłę propozycji, których my nie chcemy, których w ogóle nie uwzględniamy. Bóg mógł przyjść do Maryi ze swoim zaproszeniem do współpracy poprzez anioła tylko dlatego, że Ona była otwarta na Bożą wolę, że była Dziewicą słuchającą. Jeśli ktoś w ogóle nie interesuje się Bożą muzyką, to jej nie usłyszy. A nawet jeśli usłyszy, to nie będzie chciał tańczyć tak, jak Bóg mu będzie grał. To pierwszy warunek i kryterium rozeznawania drogi życiowej, czy podejmowania innych mniej czy bardziej istotnych decyzji w życiu – chcieć usłyszeć Bożą propozycję.

Drugi dźwięk gamy („re”), wynika ze słów anioła: „ Bądź pozdrowiona, pełna łaski, Pan z Tobą”. Dla uważnego obserwatora okaże się, że te słowa są nawiązaniem do Starego Testamentu, do słów proroków Sofoniasza, Joela i Zachariasza. To nie są obce Maryi słowa. Ona zna Boże Pisma. Dzięki temu wie, że posłaniec jest od Boga. Drugie kryterium rozeznawania w szkole Maryi mówi nam, że to, co chcemy wybrać, za czym chcemy pójść, musi być zgodne ze słowem Bożym, z Ewangelią i z nauczaniem Kościoła, któremu została ofiarowana Biblia, by strzec tego słowa i je głosić.

Pewien mężczyzna przyszedł do kapłana na rozmowę. Rozstał się z żoną. Po jakimś czasie spotkał inną kobietę, rozwódkę, samotnie wychowującą syna. Zakochał się w niej. Zaangażował się także w pomoc dorastającemu chłopcu. Stał przed decyzją, czy zamieszkać razem i związać się na stałe z tą kobietą, czy też zerwać ten już grzeszny związek. Przechodził duże zmagania ze sobą. Dużo się modlił. Podczas spotkania z kapłanem przeczytali wspólnie fragment Ewangelii: „ I kto oddaloną bierze za żonę, popełnia cudzołóstwo” (Mt 19, 9). Mężczyzna został poruszony tym słowem. Bardzo mu zależało na życiu zgodnym z wolą Bożą. Czuł wciąż, że coś jest nie tak, ale szlachetne pobudki, które wyglądały na całkiem wiarygodne, by pomóc

kobiecie i chłopcu, przysłaniały pokusy, jakie stały za takim wyborem. Słowo Boże, które jednoznacznie zabrzmiało w jego uszach podziało jak światło i jak miecz, który przeciął wszelkie wątpliwości. Nie było łatwo, ale uczciwie walczył i wybrał Boże rozwiązanie.

Trzeci dźwięk gamy („mi), odnosi się do słów Ewangelii: „Ona zmieszała się na te słowa”. Ta lekcja rozeznawania w maryjnej szkole mówi o tym, że przy dokonywaniu wyborów trzeba bardzo uważać na uczucia, na emocje. One wywołują często dużo zamieszania. Bywają jak mgła, która się nagle pojawia i zasłania drogę. Nie widać jej wtedy dobrze. Można się bardzo pomylić. Emocje są złym doradcą. Maryja nie działa pod wpływem emocji. Rozeznaje dalej.

Każdy wybór, zwłaszcza poważny, musi budzić emocje, rodzić jakieś uczucia. Nie zawsze pójście za przyjemnymi uczuciami będzie zgodne z Bożą wolą, tak jak i nie zawsze będzie nią pójście wbrew uczuciom nieprzyjemnym. Bywa, że czegoś się boimy, a okaże się po dalszym rozeznaniu, że to nasza droga. Zdarza się i odwrotnie, że emocje były sympatyczne, ale pójście za nimi okazało się nie Bożym wyborem. Ważne, by poczekać, aż emocje opadną. Nie dokonywać wyborów, zwłaszcza poważnych, tylko pod wpływem emocji. Warto tutaj pamiętać, że emocje czy uczucia są nasze, ale nie są nami. Szybko się zmieniają. Są więc takim kryterium negatywnym przy dokonywaniu wyborów, czyli mówią nam, że coś się dzieje, ale nie zawsze to oznacza to, co czujemy. Miłość bowiem, to nie jest to, co czujemy, ale to, co wybieramy i wprowadzamy w czyn, jako zgodne z Bożym planem.

Czwarty dźwięk w gamie rozeznawania („fa”) oparty jest na słowach: „Rozważała, co miałyby znaczyć to pozdrowienie?” Maryja czyta także w sercu swoim głos Boży. Bóg mówi do nas także wewnątrz naszej duszy. Tutaj też mamy szukać odpowiedzi na pytanie, czego On oczekuje ode mnie? Tak więc kolejny krok na drodze rozeznawania to modlitwa. To pytanie Boga na modlitwie, czy to jest Twój, Boże, pomysł, czy może tylko mi się tak wydaje? Kiedy stoimy zwłaszcza przed poważnym wyborem, powinniśmy się dużo modlić. Czy moją drogą jest małżeństwo, czy moim mężem/żoną ma być ta właśnie osoba? A może nie nadaje się do małżeństwa na tym etapie mojego życia, a może w ogóle nie mogę założyć rodziny ze względu na różne okoliczności mego życia i proponujesz mi inne rozwiązania? A może zapraszasz mnie, Boże, do kapłaństwa do życia zakonnego? Jeśli tak, to gdzie mnie chcesz widzieć – w którym zgromadzeniu, a może mam być kapłanem diecezjalnym? Trzeba się modlić przed podjęciem decyzji i w trakcie także. Wielu tego nie robi wcale, albo tylko powierzchownie, i stąd nierzadko ich wybory nie są dobrze rozeznane.

Piąty dźwięk w sekwencji gamy (sol) wynika ze słów: „Jakże się to stanie, skoro nie znam męża?” Maryja po prostu używa tutaj rozumu. Nasze rozeznawanie, szukanie Bożej drogi ma być racjonalne. Słowo Boże mówi w Psalmie 32: „Nie bądźcie bez rozumu niczym koń i muł; tylko wędzidłem i uzdą można je okiełznać, nie zbliżą się inaczej do ciebie” (Ps 32, 9). Maryja nie była naiwną kobietą, która bezmyślnie podejmowała decyzje, jak czasem myślą niektórzy. Ona mocno chodziła po ziemi. Patrzyła na realia. Wiedziała przecież, że jest już poślubiona Józefowi. Tak więc skoro ma być Matka Boga, to jak to Bóg chce rozwiązać? To niesamowite, że Pan Bóg tak szanuje naszą wolność i rozumność oraz traktuje nas poważnie. On nas zaprasza do współpracy. Jak powie papież Benedykt XVI możemy się stać współpracownikami Boga. On tego chce. Dlatego nasze wybory mają być przemyślane, nie pochopne i emocjonalne.

Szósty dźwięk w gamie rozeznawania (la) sugerują słowa: „Oto krewna Twoja, Elżbieta, poczęła w swej starości syna, i jest już w szóstym miesiącu ta, która uchodzi za niepłodną”. Ważne jest, aby przy podejmowaniu decyzji uwzględniać także pewne okoliczności zewnętrzne, pewne znaki, które Pan Bóg wysyła nam, jako podpowiedzi. Maryja poszła do Elżbiety, swojej krewnej, jak często mówimy, by jej pomóc. Ale jednocześnie mogła zobaczyć, że rzeczywiście, ta stara już kobieta jest w ciąży. Nie było jeszcze wtedy USG. Pozostała u niej trzy miesiące. Patrzenie na pewne znaki, wydarzenia, sytuacje, które - jako może nawet pewien ciąg zdarzeń - potwierdzają nam nasz krystalizujący się powoli wybór.

Siódmy dźwięk gamy (si) wyprowadzić możemy ze słów: „Dla Boga bowiem nie ma nic niemożliwego”. Jesteśmy zaproszeni przy rozeznawaniu Bożej drogi dla nas także do odwagi. Maryja okazała się być odważną. Nie zawsze nasza droga będzie standardowa, podobna do dróg innych Bożych wybrańców. Nawet więcej – każda Boża droga jest oryginalna i niepowtarzalna. Ale czasem może pojawić się nawet coś bardzo wyjątkowego, niezwykłego, niepowtarzalnego, co właśnie chce mi zaproponować Pan Bóg. Nieraz trudno w to uwierzyć. Ale dźwięki gamy doprowadzają nas aż dotąd. Do tego, co wydaje się prawie niemożliwe. Teraz potrzebna jest odwaga. Odwaga i nadzieja, że skoro Bóg mnie zaprasza na taką drogę, to

również On zadba – przy mojej współpracy – o to, by można było to powołanie wyzwanie zrealizować. On zawsze daje łaskę stosowną do powołania.

Propozycja Boga dla Maryi była oszołamiąjąca, fascynująca – „Chcę, żebyś została Matką Mojego Syna”. Potrzeba wielkiej odwagi i przekonania, ale i wcześniej dziecięcej ufności i zażyłości z Bogiem, by nie bać się podjąć decyzji. Wielu, zwłaszcza młodych ludzi, pozostaje dziś na tym etapie rozeznawania. Boją się podjąć decyzję. Czekają i czekają, a życie ucieka i czas płynie. Nawet jeśli rozeznają, że moim życiowym powołaniem nie jest ani małżeństwo, ani kapłaństwo czy życie zakonne, to i tak jestem zaproszony do podjęcia decyzji. Tak, moim powołaniem jest życie w samotności dla miłości Boga i człowieka. Tak, rozpoznaję, że mam się zaangażować w jakieś dzieło Boże, w służbie ludziom, i że życie w małżeństwie czy kapłaństwie nie pozwalałoby mi na pełne zrealizowanie tego powołania, dlatego podejmuję taką decyzję – wybieram życie w samotności. Ale to ma być moja osobista, świadoma decyzja i nie z pobudek egoistycznych, ale dla miłości Boga i w służbie ludziom. To może być praca lekarza, naukowca, świeckiego misjonarza czy inne role. Nie można jednak pozwolić, by życie za nas decydowało. Nasze życie nie może być drogą wynikającą z braku decyzji. To jest niegodne człowieka. Bóg, nawet jeśli daje nam jeden talent, to ten talent nie może być zakopany, ale zawsze ma być pomnażany.

Pozostaje ostatni, ósmy dźwięk, gamy rozeznawania w szkole Maryi („do”). Ten dźwięk jest wywołany przez ostatnie słowa ze sceny Zwiastowania: „Wtedy odszedł od Niej anioł”, ale odnosi nas poza tekst. Dlaczego odszedł od Maryi anioł? Ponieważ odtąd stanął przy niej św. Józef. To ostatnia lekcja rozeznawania. Ważne jest, byśmy zwłaszcza nasze poważniejsze wybory, a na pewno te dotyczące całego naszego życia, konsultowali z innymi Bożymi ludźmi. Św. Józef potwierdził Maryi, niejako z zewnątrz, że się nie pomyliła, że dobrze rozeznała. Pan Bóg na naszych drogach stawia nam ludzi, którzy jak aniołowie, pozwalają nam rozpoznawać nasze wybory. Są to ludzie, do których też Pan Bóg mówi. Św. Józef również miał swoje Zwiastowanie, kiedy usłyszał od anioła: „Józefie, nie bój się wziąć do siebie Maryi, twej małżonki; albowiem z Ducha Świętego jest to, co się w Niej poczęło” (Mt 2, 20).

Święty Józef nie dokonał wyboru za Maryję, musiała tego dokonać sama: „Niech mi się stanie według Twego słowa”. Ale był potrzebny, by potwierdzić wybór, którego dokonała. Podobnie ma być w naszych wyborach. Nie jest łatwo wybierać. Czasem może się pojawić pokusa, by ktoś za mnie wybrał. Nie. Wybory dotyczące mojego życia mają być moje. Nikt za mnie nie może decydować, jeśli chodzi o wybór Bożych dróg, zwłaszcza dotyczących życiowego powołania. Potrzebny jest jednak ktoś zaufany, Boży człowiek, który trochę mnie zna, rozumie i pomoże mi zobiektywizować moje rozeznanie. Takim człowiekiem był dla Maryi św. Józef, Jej mąż, ale najpierw mąż Boży.

Warto się wciąż pojawiać w tej szkole rozeznawania Maryi, by uczyć się dźwięków gamy, która powinna wybrzmieć w nas, jeśli chcemy dobrze usłyszeć Bożą melodię graną dla naszego życia, czy jego poszczególnych etapów, by móc nieustannie pięknie ją zatańczyć. Jest to możliwe. Mówił o tym do młodych w Rzymie Jan Paweł II: „Tego wieczoru przekażę Wam Ewangelię. Jest to dar, który Papież zostawia Wam tej niezapomnianej nocy. Słowo zawarte w Ewangelii jest słowem Jezusa. Jeśli będziecie słuchać go w milczeniu, w modlitwie, korzystając z mądrej rady Waszych księży i wychowawców, pomocnej w zrozumieniu zastosowaniu tego słowa do Waszego życia – wtedy spotkacie się z Chrystusem i pójdziecie za Nim, angażując dzień po dniu swoje życie dla Niego!”

DZIEŃ SIÓDMY

INTENCJA: By dla każdego katolika „sercem niedzieli” była Eucharystia.

SEKRET MIŁOŚCI, CZYLI O GEOMETRII BOGA

„Niech Chrystus zamieszka przez wiarę w waszych sercach; abyście w miłości wkorzeni i ugruntowani, wraz ze wszystkimi świętymi zdołali ogarnąć duchem, czym jest Szerokość, Długość, Wysokość i Głębokość, i poznać miłość Chrystusa, przewyższającą wszelką wiedzę, abyście zostali napełnieni całą Pełnią Bożą” (Ef 3,17-19).

„A gdy jedli, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał i dał im mówiąc: «Bierzcie, to jest Ciało moje». Potem wziął kielich i odmówiwszy dziękczynienie dał im, i pili z niego wszyscy. I rzekł do nich: «To jest moja Krew Przymierza, która za wielu będzie wylana. Zaprawdę, powiadam wam: Odtąd nie będę już pił z owocu winnego krzewu aż do owego dnia, kiedy pić go będę nowy w królestwie Bożym»” (Mk 14, 22-25)

Na rekolekcjach dla kapłanów o. Daniel Ange, który przez wiele lat pracował jako misjonarz w Rwandzie, opowiadał wiele przejmujących historii o wierze tamtego ludu. Oto jedna z nich. Podczas krwawej wojny domowej, do małego seminarium w jednej z miejscowości, o godz. 5.00 wpadają rebelianci. Krótko oznajmiają, że Tutsi mają przejść na lewo, a Hutu na prawo. Zgromadzona tam młodzież i kapłan odpowiadają, że nie ma tu Tutsi, ani Hutu, tu są Boże dzieci. Wszyscy zostali wymordowani. O. Daniel skomentował to jednoznacznie: „To są żywe Eucharystie”. Skąd czerpać taką moc świadectwa, taką siłę wewnętrznego przekonania, że właśnie ogląda się Boga i wtedy nawet nasze ludzkie życie staje się mniej warte, niż życie wieczne?

Na każdą niedzielę palmową, która jest od roku 1986 Światowym Dniem Młodzieży w wymiarze diecezjalnym, każdorazowy papież pisze do młodzieży specjalne orędzie. Na XXII ŚDM papież Benedykt XVI napisał orędzie o miłości. „Każda osoba odczuwa pragnienie, by kochać i być kochaną. Jednakże jak trudno jest kochać, ileż błędów i niepowodzeń wydaje się być wpisanych w miłość! Są i tacy, którzy powątpiewają czy miłość jest w ogóle możliwa. Ale jeśli nawet braki emocjonalne czy uczuciowe rozczarowania mogą doprowadzać do myślenia, że miłość jest jakąś utopią, jakimś nieosiągalnym snem, to czy można się z tym pogodzić? Nie! Miłość jest możliwa (...)” (Orędzie Ojca Świętego Benedykta XVI z okazji XXII ŚDM).

Pojawiają się jednak duże trudności w języku. Trudno dziś mówić o miłości, by nie popaść w jakieś niejednoznaczności. Wspomina o tym papież Benedykt XVI w swojej pierwszej encyklice „Bóg jest miłością”, sam analizując w niej trzy rodzaje miłości, nazywane w języku greckim: eros, filia i agape. Natomiast, Jean Guitton, profesor historii filozofii na Sorbonie w Paryżu, napisał książkę o miłości ludzkiej. Wyróżnia w niej 4 języki, jakimi mówi się o miłości: język poetyczny, język ascetyczny, język erotyczny i język biologiczny (zob. Jean Guitton, „Kobieta, miłość, rodzina”, PAX, Warszawa 1994). Już samo zestawienie tych różnych pojęć na temat miłości czy różnych języków, którymi mówimy o miłości, pokazuje nam, że nasze myślenie i mówienie o miłości jest bardzo wieloznaczne.

Pojawia się więc dla nas chrześcijan poważna trudność, ponieważ miłość jest rdzeniem naszej religii. Czytamy w 1 Liście św. Jana Apostoła: „Myśmy poznali i uwierzyli miłości, jaką Bóg ma ku nam. Bóg jest miłością: kto trwa w miłości, trwa w Bogu, a Bóg trwa w nim” (1J 4,16). Jakim więc językiem mówić o miłości? Znow z pomocą przychodzi nam Ojciec święty Benedykt XVI, pisząc we wspomnianym orędiu do młodych: „Wielką szkołą miłości jest zwłaszcza Eucharystia. Kiedy się regularnie i pobożnie uczestniczy we Mszy Świętej, kiedy w obecności Jezusa Eucharystycznego spędza się długie chwile na adoracji, wówczas łatwiej jest zrozumieć Długość, Szerokość, Wysokość i Głębokość Jego miłości przewyższającej wszelką wiedzę (por. Ef 3, 17-18)”. Uczymy się więc miłości w szkole eucharystycznej i mówimy o miłości językiem eucharystycznym.

Najpierw papież mówi o regularnym uczestniczeniu we Mszy Świętej. Pewien młodzieniec, który po kilku latach przyszedł do spowiedzi, opowiadał kapłanowi, w jaki sposób zaczęła się jego degradacja moralna. Wyjechał do Irlandii do pracy. W swojej parafii był ministrantem i lektorem. Zagranicą nie było początkowo łatwo. Nie mógł się odnaleźć. Szukał nawet kościoła w pobliżu, ale nie znalazł. Jak twierdził trudności językowe nie pozwalały mu uczestniczyć we Mszy świętej celebrowanej w języku angielskim. Początkowo czuł się nieswojo bez niedzielnej Eucharystii. Z czasem jednak, widząc że wielu innych Polaków oraz Irlandczyków w ogóle porzuciło religijne praktyki, także i on uznał, że można żyć bez niedzielnej Mszy świętej. Inni tak żyją, to i on może. Od tego czasu w jego życiu zaczęło się dziać coraz gorzej. Pojawiły się grzechy, które wcześniej były nie do pomyślenia. Wkrótce niemoralne życie stało się normą. Zakończył stwierdzeniem: „Proszę księdza, co tu dużo mówić, wszystko zaczęło się psuć, odkąd przestałem chodzić na niedzielną Eucharystię”.

Historia, jakich – niestety – wiele. I wcale nie jest to problem naszych tylko czasów. Już na początku chrześcijaństwa mieli z tym problemy wierzący. Czytamy w Liście do Hebrajczyków: „Nie opuszczajmy naszych wspólnych zebrań, jak to się stało zwyczajem niektórych, ale zachęcajmy się nawzajem, i to tym

bardziej, im wyraźniej widzicie, że zbliża się dzień” (Hbr 10,25). Regularne uczestniczenie we Mszy świętej jest gwarancją, że nawet jeśli w życiu pobłądzimy, to będzie nas Jezus mógł odnajdywać na Eucharystii. Dlatego dajmy sobie i Jemu tę szansę.

Następnie papież napisał w orędziu, że mamy we Mszy świętej pobożnie uczestniczyć. Nie ma tu mowy o przeżywaniu Mszy świętej. Czasem się na to niektórzy skarżą, nie mogąc doświadczać głębi przeżyć podczas liturgii. Kościół nam mówi wyraźnie, że mamy w Eucharystii pobożnie uczestniczyć, czyli wykonywać to wszystko bądź nie wykonywać czegoś innego, niż mówią o tym przepisy liturgiczne.

Na I Kongresie Nowej Ewangelizacji w Kostrzynie nad Odrą, biskup Grzegorz Ryś mówił o tym, kiedy Eucharystia staje się wydarzeniem ewangelizacyjnym, czyli wprowadza Osobę Jezusa w życie wspólnoty. Dzieje się tak wówczas, kiedy Msza Święta angażuje każdego człowieka, i gdy on spełnia tylko to i wszystko to, do czego jest uprawniony. Korzystasz z tych wszystkich możliwości, które daje ci Msza święta? Słuchasz, patrzysz, odpowiadasz, śpiewasz, stoisz, klęczysz, siedzisz, wykonujesz gesty odpowiednie, przystępujesz do Komunii świętej? Ile się tu dzieje? Nie ma czasu na nudę.

Ponadto, Eucharystia uobecnia w moim życiu Chrystusa, kiedy jest zbiorem symboli, czyli takich słów i znaków, które nie tylko rozumiem, ale one są moje, mnie wyrażają. Te wszystkie wyżej wymienione postawy, zaangażowania w Eucharystię powinienem rozumieć. Co to znaczy, że stoję, biję się w piersi, dlaczego klękam? Jeśli mam świadomość tych znaków, to nawet jeśli chwilowo się rozproszę, to wówczas owe gesty i postawy będą mnie wyrażać i pozwolą mi szybko znów skupić uwagę.

Eucharystia jest też ewangelizacyjnym doświadczeniem, kiedy chodzi mi w niej o relacje, a nie tylko o obrzęd. Wszystkie podejmowane podczas Mszy świętej czynności i słowa, mają bowiem zaprosić mnie na nowo do relacji z Bogiem, ze sobą i z drugim człowiekiem. Tak mam w niej uczestniczyć, by się bardziej spotkać z wymienionymi wcześniej osobami. Jeśli nie dochodzi do spotkania, pogłębienia więzi, to znaczy, że chodzi mi tylko o rytuał, o spełnienie obowiązku, o pustą pobożność, która nie spełnia tego, czym ma być – nie prowadzi do spotkania z drugim.

Na koniec Msza święta może spełnić owe zadania, jeśli jest sprawowana w konkretnej wspólnocie wiernych. Dlatego tak ważne jest uczestniczenie w Eucharystii zwyczajnie w swoim kościele parafialnym albo we wspólnocie parafialnej, którą się wybierze, na przykład w związku z wyjazdem do pracy zagranicę. Ta sama grupa wiernych, ta stałość miejsca i świątyni, będzie sprzyjać budowaniu wspólnoty żywego Kościoła. Sprawí, że uczestnictwo w Eucharystii nie tylko będzie niedzielnym obowiązkiem czy kulturowym zwyczajem, ale będzie wciąż wydarzeniem ewangelizacyjnym, czyli uobecniającym żywego Boga wśród swego ludu.

W szkole miłości, którą jest Eucharystia, a o której mówił papież Benedykt XVI, dowiadujemy się, że ważne jest, aby w „obecności Jezusa Eucharystycznego spędzać długie chwile na adoracji.” Poeta powie – „żyć nie znaczy tylko być żywym, lecz i – przez Boga – być ucałowanym”/Henry Vaughan/. A tym właśnie jest adoracja. Benedykt XVI powie w Kolonii do młodych: „Łacińskie słowo oznaczające adorację, to *adoratio* - kontakt usta-usta, pocałunek, uścisk, a więc miłość.” Ale również *adorować* oznacza gest położenia dłoni na ustach, jakby w celu nakazania sobie milczenia. Przypomina nam się Hiob, który rozmawiał w swym nieszczęściu z Panem Bogiem i na końcu swych zmagania z Nim mówi: „Jam mały, cóż Ci odpowiem? Rękę przyłożę do ust”(Hi 40, 4). A św. Grzegorz z Nazjanzu dopowie, że adorować, to wznosić do Boga „hymn milczenia”. Tak jak powietrze wraz ze wzrostem wysokości staje się coraz bardziej rozrzedzone, tak samo w miarę zbliżania się do Boga słowo musi stawać się coraz krótsze, aby w końcu zamilknąć i złączyć się w milczeniu z Tym, który jest niewysłowny.

Ale, aby ten pocałunek nie był z naszej strony fałszywy, powinniśmy zgodzić się na pierwsze znaczenie słowa adoracja i to, co ono wyraża w języku greckim. Znow o tym mówił papież Benedykt XVI w Kolonii: „Po grecku brzmi ono (adoracja) *proskynesis*. Oznacza to gest poddania się, uznanie Boga za naszą jedyną prawdziwą miarę, której normy zgadzamy się przestrzegać. Oznacza, że wolność to nie rozkoszowanie się życiem, uważanie się za całkowicie niezależnych, lecz kierowanie się miarą prawdy i dobra, aby w ten sposób samemu stać się prawdziwym i dobrym. Gest ten jest niezbędny, chociaż nasze pragnienie wolności sprzeciwia się w pierwszej chwili tej perspektywie.” Trudno jest nam uklęknąć, uznać, że jest ktoś większy od nas, ktoś, kto ustanowił pewne prawa i normy, abyśmy wiedzieli jaka jest przestrzeń naszej wolności. My

wolimy sami określać granice naszej wolności, szukać szczęścia na własny rachunek. Jeśli zgodzimy się na ukłęknięcie przed Bogiem, w geście uznania Go za naszego Pana i Boga, jak mówił św. Tomasz Apostoł, wtedy On sam uczyni kolejny krok i otrzymamy ów pocałunek Chrystusa, który nas wyniesie aż do głębi tajemnicy Boga.

Papież Benedykt XVI mówiąc o eucharystycznej szkole miłości wspomina o czterech wymiarach miłości Boga: Szerokości, Głębokości, Wysokości i Długości (por. Ef 3, 17-18), cytując słowa św. Pawła z Listu do Efezjan. W ten sposób nazwiemy poszczególne części Eucharystii i przerobimy cztery lekcje o miłości Boga.

Temat pierwszej lekcji, to „Obrzędy wstępne”, czyli Szerokość Bożej Miłości. Przychodzimy na Eucharystię i patrzymy na początku na swój duchowy wygląd. Dostrzegamy, że nie wyglądamy najlepiej. Znow się pokłóciłem z bliskimi w domu, nie wytrzymałem i powiedziałem zbyt wiele niepotrzebnych słów. Chciałem w pracy tym razem wszystko robić jak najlepiej i znowu wyszło jak zawsze, czyli niesolidnie. Miałem rzucić palenie i znow sięgnąłem po papierosa. Bardzo mi zależało żeby przestać w końcu pić alkohol, zażywać narkotyki - wytrzymałem pół dnia. Tak bardzo się staram kochać i nie wychodzi. Tak bardzo pragnę być kochany i nie doświadczam tego. Co robić? Kościół zaprasza mnie podczas obrzędów wstępnych Mszy świętej, bym wołał do Chrystusa: „Panie, zmiłuj się nad nami!” Co to znaczy? „Panie, z – miłością przyjdź!” „Panie, miłuj mnie”. „Potrzebuję Twojej miłości, Boże”. „Z – miłością mnie przytul, obejmij”, „Panie, przykryj swoją miłością wszystkie moje grzechy i ich skutki, całą moją biedę”. „Wyciągnij szeroko swoje miłujące ramiona i obejmij mnie, przygarnij mnie, ukryj mnie przy Twoim kochającym sercu”.

To jest ta Szerokość Bożej Miłości – rozciągnięte na krzyżu szeroko ramiona Jezusa, które pragną mnie przygarniać w każdej Mszy świętej, zwłaszcza podczas obrzędów wstępnych. Jeśli nie przychodzę na Mszę świętą albo nie wiem, po co przychodzę, to nie doświadczę owego objęcia Szeroką Bożą Miłością, nie doświadczę oczyszczenia z moich słabości i mojej biedy. Natomiast kiedy świadomie pozwalam się Chrystusowi obejmować Jego ukrzyżowanymi ramionami, to wówczas przyjmuję całą Szerokość Jego miłości. Następnie będę mógł w podobny szeroki sposób kochać moich bliskich i każdego człowieka – rozciągając szeroko swoje ramiona i przygarniając każdego.

Druga lekcja o Miłości Boga ma temat: „Liturgia słowa”, czyli Głębokość Bożej Miłości. Czytamy w Liście do Hebrajczyków: „Żywe bowiem jest słowo Boże, skuteczne i ostrzejsze niż wszelki miecz obosieczny, przenikające aż do rozdzielenia duszy i ducha, stawów i szpiku, zdolne osądzić pragnienia i myśli serca (Hbr 4, 12). W ten sposób Boża miłość jest głęboka. Boże słowo wchodzi w nas najgłębiej jak tylko można. Ono zna całą prawdę o nas i wie, w jaki sposób teraz pragniemy być kochani. To jest w pewnym sensie macierzyński wymiar Bożej miłości. Tak kocha dobra matka. Nie zawsze tak samo. Mama inaczej kocha, gdy człowiek jest pod jej sercem, inaczej gdy jest niemowlakiem, inaczej, gdy dorasta i jeszcze inaczej, gdy już opuścił dom. Podobnie inaczej mama kocha, gdy człowiek jest zdrowy, inaczej gdy jest chory, inaczej gdy jest smutny, a jeszcze inaczej, gdy coś nie wyszło. Mądra mama dostosowuje swoją miłość do okoliczności, jakie dziecko przeżywa. Czasem pocieszy albo zachęci, czasem pouczy albo skarci.

Podobnie jest ze słowem Bożym, które czytamy w czasie liturgii mszalnej. Nie każdy z uczestników słyszy to samo. Każdy przyjąć może to, czego najbardziej potrzebuje. A i to samo słowo czytane i usłyszane przez tę samą osobę, ale w innym dniu, w innych okolicznościach życiowych, jest inaczej przez nią odbierane. Roman Brandstaetter wspominał chętnie, że jego dziadek często mu przypominał: „Staraj się czytać Biblię na różne sposoby”. A kiedy mały Romek nie rozumiał czytanego tekstu hebrajskiego, wtedy dziadek mu przypominał, że nie musi go rozumieć, ważne, żeby pamiętać. Jeśli będziemy słuchać i zapamiętywać słowa Biblii, to Biblia będzie słuchać nas i pamiętać o nas. My nie musimy całego Słowa rozumieć. Wystarczy, że Słowo rozumie nas.

Jeśli nie przyjdziemy na Eucharystię, nie posłuchamy Bożego słowa, co ma nam do powiedzenia, jak pragnie nas przenikać, z czego chce nas oczyszczać, to będziemy mieli trudności z twórczą miłością. Będziemy wciąż kochać tak samo i dziwić się, że to nie działa. Nawet piosenka nam podpowiada, że „kochać to nie znaczy, zawsze tak samo”. Nasza ludzka miłość jest bardzo powierzchowna, nie umie patrzeć w głąb, przenikać pragnień i myśli naszych bliźnich. Kiedy zaś doświadczymy za każdym razem podczas Liturgii słowa we Mszy świętej takiej głębokiej miłości, jakiej właśnie potrzebujemy, wówczas sami wobec naszych

bliskich i napotykanym na co dzień ludzi, będziemy odczytywali, w jaki sposób dziś, teraz pragną być kochani. Co mamy im powiedzieć, jak zareagować, jaką postawę przyjąć.

Tematem trzeciej eucharystycznej lekcji o miłości Boga jest: Liturgia Eucharystii, czyli Wysokość Bożej Miłości. Podczas tej części Mszy świętej dokonuje się przeistoczenie. Boża Miłość zstępuje z wysoka na ziemię, na ołtarz. Jest to miłość nie z tej ziemi, miłość z wysoka. Ta miłość przychodzi zawsze, kiedy tylko kapłan sprawuje Najświętszą Ofiarę. Ta miłość z wysoka jest przede wszystkim wierna. Bóg jest wierny swojej miłości wobec człowieka. Nigdy tej miłości nie cofnie.

Pewien mężczyzna został sam z dwójką dzieci. Żona od nich odeszła. Koledzy mu mówią: „Ożeń się, masz prawo do szczęścia”. On niezmiennie odpowiadał: „Ja mam żonę. Ślubowałem wierność, niezależnie od tego, co ona robi. Ja wciąż na nią czekam”. U niektórych rodziło to śmiech, u innych wyrzuty sumienia, a jeszcze u innych szacunek. Skąd czerpał moc do takiej miłości z wysoka? Zawsze, co niedziela, przychodził z dwójką swoich dzieci na Mszę świętą. Mało tego. Bardzo często, niemal codziennie, odprowadzając dzieci do szkoły, mając po drodze kościół, wstępował z nimi na parę chwil adoracji przed Najświętszym Sakramentem.

Nie jest łatwo kochać miłością z wysoka, miłością wierną. Mała dziewczynka otrzymała na urodziny klocki. Po zabawie układa klocki z powrotem do pudełka. Nie udaje się. Za każdym razem zostaje parę klocków, które się nie mieszczą w pudełku. Przychodzi do mamy i prosi o pudełko większe. Mamy patrzy na pudełko, które przyniosła córka i widzi, że jest to pudełko oryginalne, właśnie od tych klocków. Mówi więc do swego dziecka: „Nie potrzebne jest ci inne pudełko, poukładaj lepiej klocki, a na pewno wszystkie się zmieszczą”.

Dzisiaj bardzo często, kiedy coś się nie układa między małżonkami, między przyjaciółmi, zamiast lepiej układać relacje, to zmieniamy męża-żonę czy przyjaciela. Jak w znanej piosence: „Znow się zepsułeś i wiem co zrobię, zamienię cię na lepszy model”. Lepiej poukładajmy relacje, porozmawiajmy, nawiążmy dialog, posłuchajmy się nawzajem i w końcu, jeśli potrzeba, przebacmy sobie. Okazuje się, że następne, tak łatwo i pochopnie budowane relacje czy związki emocjonalne z innymi ludźmi, wcale nie muszą być lepsze i łatwiejsze. Uczmy się miłości z wysoka, tej wiernej, która zawsze przebacza. Oczywiście najpierw takiej miłości musimy doświadczyć. Świat sam z siebie tak nie potrafi kochać. Dlatego tak ważne jest uczestnictwo w niedzielnej Eucharystii. By przynajmniej raz na tydzień napełniać się miłością z wysoka, miłością nie rezygnującą nigdy z człowieka. Kiedy sam doświadczę takiej miłości, będę ją mógł świadczyć wobec moich bliskich i innych.

Wreszcie ostatnia, czwarta lekcja o Bożej Miłości. Jej temat, to: „Obrzędy zakończenia, czyli Długość Bożej Miłości”. Ojciec Święty, Benedykt XVI, w tym samym przemówieniu w Kolonii, powie jeszcze: „Ciało i Krew Chrystusa zostały nam dane po to, abyśmy my sami z kolei zostali przemienieni. My sami mamy stać się Ciałem Chrystusa, Jego krewnymi. Wszyscy pożywamy ten sam chleb, a to oznacza, że między sobą stajemy się jednym. Adoracja, jak powiedzieliśmy, staje się w ten sposób jednością. Bóg nie jest już przed nami, jako Całkowicie Inny. Jest w nas, a my jesteśmy w Nim. Jego dynamika przenika nas i z nas chce przejść na innych i objąć cały świat, aby Jego miłość stała się rzeczywiście dominującą miarą świata.”

Natomiast w orędziu na XXII ŚDM ten sam papież napisał: „Horyzont miłości jest rzeczywiście bez granic: jest nim cały świat”. Horyzont miłości jest bez granic, czyli Długość Bożej Miłości jest nieograniczona. Dlatego też słyszymy na koniec każdej Mszy świętej: „Idźcie w pokoju Chrystusa!”. I tak naprawdę Eucharystia się nie kończy. Tajemnica Śmierci i Zmartwychwstania Chrystusa, celebrowane podczas Mszy świętej ma trwać w nas i ma być przez nasz roznoszona dalej, jak długi jest horyzont i świat.

Taką więc, Bożą miarą miłości, mamy mierzyć nasze relacje z bliźnimi. Tymczasem zapominamy o tym, o czym pisał Jan Ewangelista: „*Jeśliby ktoś mówił: <<Miłuję Boga>>, a brata swego nienawidził, jest kłamcą, albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi*” (1J 4,20). Na krzyżu Chrystus dokonał wyjątkowej, absolutnej przemiany: nienawiści w miłość, śmierci w życie. Ojciec Święty, Benedykt XVI, porównał w Kolonii tę przemianę do rozszczepienia atomu, do reakcji łańcuchowej: „Śmierć została, by tak rzec, głęboko zraniona, tak iż nie może już do niej należeć ostatnie słowo. Jest to, posługując się znanym nam dzisiaj obrazem, rozszczepienie atomu w najgłębszej istocie -

zwycięstwo miłości nad nienawiścią, zwycięstwo miłości nad śmiercią. Tylko ten głęboki wybuch dobra, zwyciężającego zło, może wywołać następnie łańcuch przemian, które stopniowo odmienią świat.”

Uczestnicząc w Eucharystii, adorując Najświętszy Sakrament, przyjmując Ciało Chrystusa w Komunii Świętej – wchodzimy w ten łańcuch przemiany: nienawiści w miłość, śmierci w życie. Nie może na nas przerwać się ten łańcuch jedności, ta eksplozja dobra, ta rewolucja miłości. Pewien mężczyzna przygotowywał się do ślubu. Wstąpił do sklepu, by kupić garnitur. Ekspedientka zapytała, jakiego koloru ma być ubranie. Wówczas odpowiedział, że wszystko jedno, ważne jest natomiast, aby garnitur był z materiału, który bardzo szeleści. Na zdziwioną minę sprzedawczyni dopowiedział: „Moja narzeczona jest osoba niewidomą. Nie będzie widzieć mojego garnituru, ale chcę, aby go słyszała.

Dzisiejszy świat coraz rzadziej widzi prawdziwą miłość. Ludzie bardzo rzadko doświadczają w swoim życiu czym jest Szerokość, Głębokość, Wysokość czy Długość Bożej Miłości. Dlatego nie tyle potrzebny jest nieśmiały szelest naszej eucharystycznej formacji, objawiający światu, gdzie może spotkać miłość, której naprawdę pragnie i naprawdę potrzebuje. Potrzebny jest krzyk, o którym wspomina papież Benedykt na zakończenie swego orędzia do młodych: „Niechaj Maryja, Matka Chrystusa i Kościoła, dopomoże wam rozgłosić wszędzie tego krzyk, który przemienił świat: „Bóg jest miłością!”

Na polach Marienfeld koło Kolonii, gdzie w niedzielę rano była celebrowana Eucharystia pod przewodnictwem Benedykta XVI, na zakończenie Świątowych Dni Młodzieży, zgromadziło się około 2 milionów ludzi. Wieczorem dzień wcześniej odbywało się nocne czuwanie modlitewne. Tak jest zawsze na każdym spotkaniu papieża z młodymi. Wówczas po raz pierwszy podczas takiego nabożeństwa, na potężnym placu pojawiła się wielka monstrancja z Najświętszym Sakramentem. Obok grupy młodych Polaków, którzy wszyscy, jak na komendę, padli na kolana, znajdowała się grupa młodych, mówiąca w języku niemieckim. Oni jednak nie rozumieli, co się dzieje. Wcześniej grali w karty, nie interesując się bynajmniej tym, co dokonywało się podczas czuwania. Nikomu jednak nie przeszkadzali. Byli. Przeżyli jednak konsternację. Patrzą na telebim i widzą, że pojawił się jakiś złoty przedmiot, na widok którego, tysiące ludzi dziwnie zareagowało – uklęknięciem. Patrzyli na telebim, patrzyli na klęczących w ciszy ludzi i byli oszołomieni. To było widać na ich twarzach. Przestali grać w karty i usiedli, rozglądając się w zadziwieniu. To był potężny krzyk, jaki rozległ się w ciszy na polach Marienfeld. Krzyk prostego świadectwa – przyszła do nas Miłość!

DZIEŃ ÓSMY

INTENCJA: Modlimy się o życie bez grzechu - w wolności dzieci Bożych

POLEROWANIE SERCA, CZYLI O GRZESZNICY I HIPOKRYCIE

„Jeden z faryzeuszów zaprosił Go do siebie na posiłek. Wszedł więc do domu faryzeusza i zajął miejsce za stołem. A oto kobieta, która prowadziła w mieście życie grzeszne, dowiedziawszy się, że jest gościem w domu faryzeusza, przyniosła flakonik alabastrowy olejku, i stanąwszy z tyłu u nóg Jego, płacząc, zaczęła łzami oblewać Jego nogi i włosami swej głowy je wycierać. Potem całowała Jego stopy i namazczała je olejkiem. Widząc to faryzeusz, który Go zaprosił, mówił sam do siebie: «Gdyby On był prorokiem, wiedziałby, co za jedna i jaka jest ta kobieta, która się Go dotyka, że jest grzesznicą». Na to Jezus rzekł do niego: «Szymonie, mam ci coś powiedzieć». On rzekł: «Powiedz, Nauczycielu!» «Pewien wierzyciel miał dwóch dłużników. Jeden winien mu był pięćset denarów, a drugi pięćdziesiąt. Gdy nie mieli z czego oddać, darował obydwom. Który więc z nich będzie go bardziej miłował?» Szymon odpowiedział: «Sądzę, że ten, któremu więcej darował». On mu rzekł: «Słusznie osądziłeś». Potem zwrócił się do kobiety i rzekł Szymonowi: «Widzisz tę kobietę? Wszedłem do twego domu, a nie podałeś Mi wody do nóg; ona zaś łzami oblała Mi stopy i swymi włosami je otarła. Nie dałeś Mi pocałunku; a ona, odkąd wszedłem, nie przestaje całować nóg moich. Głowy nie namaściłeś Mi oliwą; ona zaś olejkiem namaściła moje nogi. Dlatego powiadam ci: Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała. A ten, komu mało się odpuszcza, mało miłuje». Do niej zaś rzekł: «Twoje grzechy są odpuszczone». Na to współbiesiadnicy zaczęli mówić sami do siebie: «Któż On jest, że nawet grzechy odpuszcza?» On zaś rzekł do kobiety: «Twoja wiara cię ocaliła, idź w pokoju!»” (Łk 7, 36-50)

Jan Paweł II sprzeciwiał się wizji człowieka ograniczonej tylko do tego świata, zredukowaniu naszych pragnień tylko do pragnień z „krainy Pepsi – Coli”. Mówił do młodych w Toronto: „Nie jesteśmy sumą naszych słabości i upadków. Jesteśmy sumą miłości Ojca dla nas oraz naszej prawdziwej zdolności stawania się obrazem jego Syna”. Oto nasze aspiracje. Jesteśmy kochani przez Boga i to jest gwarancją tego, że nasza wewnętrzna bieda i niskie pragnienia nie są w stanie zamknąć nas w wizji człowieka pełnego słabości i upadków. Tak by chciał świat reklamy i biznesu, który chce na człowieku i jego zmysłach tylko zarobić. Tymczasem Bóg dał nam powołanie i zdolności, które wsparte Jego miłością, mają uczynić z nas świętych. Taka jest nasza godność. Ojciec Święty, Benedykt XVI, podczas swej homilii inauguracyjnej jego pontyfikatu, określił to w ten sposób: „Nie jesteśmy przypadkowym i pozbawionym znaczenia produktem ewolucji. Każdy z nas jest owocem zamysłu Bożego. Każdy z nas jest chciany, każdy miłowany, każdy niezbędny”.

Pewna kobieta prowadziła samochód w deszczowe popołudnie. Z tyłu siedział jej siedmioletni syn. W pewnym momencie mówi on: - Wiesz co, mamo? Deszcz jest jak grzechy a wycieraczki są jak Bóg, który je zabiera. Zdumiona mama zapytała: - A zauważyłeś, że deszcz nadal pada? A syn bez wahania odpowiedział: - To tak jak my. Nadal ciągle grzeszymy, a Bóg ciągle nam przebacza.

Biedny byłby człowiek prowadzący samochód podczas deszczu, gdyby miał zepsute wycieraczki. Nie widziałby drogi, mógłby z niej zjechać, bądź spowodować wypadek. Podobnie nasze grzechy - sprawiają, że widzimy coraz gorzej w naszym życiu. A jeszcze gorzej, gdy nie widzimy grzechów. Pewna dziewczynka miała uszkodzony system nerwowy, co przejawiało się w tym, że nie odczuwała bólu. Któregoś dnia jej mama, krzątająca się po kuchni, usłyszała dziwne niepokojące ją odgłosy z pokoju córki. Pobiegła przerażona i zobaczyła to, czego się obawiała. Jej córeczka skaleczyła sobie palec i z uśmiechem bawiła się cieknącą dosyć obficie z rany krwią. Wiemy, co by się stało, gdyby mama nie zdążyła na czas. Dziecko umarłoby z uśmiechem na ustach.

Jan Paweł II napisał do młodych w orędziu na XIV ŚDM: „Niestety, człowiek współczesny, im bardziej zatracza świadomość grzechu, tym mniej poszukuje Bożego przebaczenia: to właśnie jest źródłem wielu problemów i trudności naszych czasów. Zachęcam was, byście odkryli na nowo piękno i bogactwo łaski sakramentu pokuty” (Jan Paweł II, Orędzie na XIV ŚDM).

Dzisiaj jest wielu takich, którzy nie rozpoznają swego grzechu. Którzy mają uszkodzone sumienie, duchowy system rozpoznawania grzechów. Potrafią grzech nazwać problemem, błędem, a nawet coraz częściej normą, którą chcą jeszcze obwarować prawem. Niejednokrotnie szczycą się tym, czego powinni się wstydić. Wielu grzesząc, umiera duchowo z rechem na ustach. Dlatego Kościół, jako dobra matka wciąż będzie przypominał, że jest grzech, ponieważ zależy mu na dobru swoich dzieci. Wiącej. Kościół wie, co zrobić z grzechem.

Tak pisał o tym św. Jan Paweł II: „Zanim Jezus powrócił do Ojca, powierzył Kościołowi posługę pojednania (por. J 20, 23). Nie wystarcza zatem wewnętrzna skrucha, aby otrzymać Boże przebaczenie. Pojednanie z Nim uzyskuje się przez pojednanie ze wspólnotą Kościoła. Dlatego uznanie win dokonuje się przez konkretny akt sakramentalny - wyrażenie żalu, wyznanie grzechów i postanowienie odnowy życia - w obecności szafarza Kościoła” (Jan Paweł II, Orędzie na XIV ŚDM).

Przeczytana na początku Ewangelia pokazuje nam dwa rodzaje grzeszników. Jezus przychodzi w gościnę do domu faryzeusza Szymona. To, że Szymon nie zadbał o podstawowe obowiązki gospodarza wobec zacnego gościa, czyli nie polecił sługom, by obmyli strudzonemu wędrowcowi nogi i namaścili je olejkami, nie przywitał ówczesnym zwyczajem Jezusa pocałunkiem - wskazuje, że nie darzył Jezusa należnym szacunkiem, nie liczył się z Nim. Być może zaprosił na wieczerzę tego młodego Nauczyciela, który fascynował tłumy i głosił naukę nową, odmienną od tej, którą wyjaśniał i praktykował faryzeusz, z ciekawości, albo by Go wystawić na próbę czy nawet ośmieszyć. Uważał się za lepszego, godniejszego – kogoś, kto może stawiać się ponad innymi i wyrokować o ich grzechu czy miejscu w społecznej hierarchii. Nie czuł się grzesznikiem.

Z drugiej strony staje przed nami kobieta grzeszna, prawdopodobnie – dziś powiedzielibyśmy – prostytutka, która nawet nie ma własnego imienia. Tak ją widzą ludzie, zwłaszcza faryzeusz. Ona nie potrzebuje imienia, jej imieniem jest grzech, wszyscy o tym wiedzą i pogardzają kobietą. Ona sama zajmuje wskazane jej miejsce w środowisku. Wie, że jest grzesznicą.

Ewangelia ta pokazuje nam więc dwa typy grzeszników: człowieka - jawno grzesznicę, która grzeszy i potrzebuje Zbawiciela i o tym wie, oraz człowieka – faryzeusza, który też grzeszy i potrzebuje Zbawiciela, ale o tym nie wie, albo nie chce wiedzieć. I tu, i tu mamy do czynienia z grzesznikiem. Problem w tym, że jeden typ grzesznika widzi swój grzech, a drugi typ nie chce go widzieć. Grzechy jak deszcz dotykają każdego człowieka. Kłopot tylko w tym, by włączyć wycieraczki, aby widzieć dokąd jechać w życiu, by nie spowodować wypadku. Wycieraczki Bożego Miłosierdzia, jak mówił w przytoczonej na początku historyjce, mały chłopiec, chcą wycierać nasz grzech, byśmy widzieli drogę. Pozostaje tylko pytanie, czy my chcemy widzieć nasz grzech, by Boże Miłosierdzie mogło w naszym życiu działać?

Co zrobić, aby zobaczyć, uznać swój grzech? Co zrobić, by nie widzieć grzechu tylko u innych, ale najpierw i przede wszystkim u siebie? Tak naprawdę problem dotyczy miłości. Nieprzypadkowo w Ewangelii mamy zestawionych: prostytutkę i faryzeusza. Jawno grzesznicę i grzesznika ukrytego. prostytutka, to kobieta, która sprzedaje i kupuje tzw. miłość. Nie potrafi albo nie chce szukać i znaleźć miłości prawdziwej, relacji oblubieńczej z mężczyzną. Wynika to z fałszywego obrazu miłości, jaki nosiła w sobie, jaki w niej się ukształtował. Swoim życiem potwierdzała, że była przekonana, że prawdziwej miłości nie ma, że można tylko ją sobie, przynajmniej w namiastce, kupić.

Z drugiej strony faryzeusz, człowiek, wydaje się pobożny, który spełnia wszystkie przykazania prawa. W istocie jest to człowiek, który zachowuje się podobnie jak prostytutka. Ona w relacji do mężczyzn, a faryzeusz w relacji do Pana Boga. Może kogoś będą razić te porównania, może ktoś się poczuje zgorzony, ale taka jest wymowa i kontrast rozważanego Bożego Słowa. Faryzeusz pokazuje, że myśli i postępuje wobec miłości, jak ta grzeszna kobieta. Sądzi, że miłość trzeba sobie kupić, że na miłość trzeba sobie zasłużyć. Swoją relację do Pana Boga oparł tylko na dokładnym wypełnianiu przepisów prawa. Jeśli wszystko wypełni skrupulatnie, to Bóg będzie mnie akceptował, będzie mnie kochał i okazywał swoją życzliwość. W swej pobożności mniemał, że na miłość Bożą się zasługuje, że kiedy wszystkie rytuały odbędzie i przykazania wypełni, to Bóg będzie po jego stronie. Też miał zafałszowany obraz miłości.

Problem w tym, że podobnie myśli wielu chrześcijan, wielu z nas. Jezus w swoim słowie przynosi Dobrą Nowinę. Ona jest i była - i Dobrą, i Nowiną - już od dwóch tysięcy lat, ale wciąż grzech sprawia, że jej moc i świeżość ciągle jest tłamszona. Ojciec Święty, Benedykt XVI, nieustannie nawiązywał do tej prawdy i ją tłumaczył: „Deus Caritas est!” – „Bóg jest miłością!” (1 J 4, 8.16). „W jaki sposób objawia się nam Bóg-Miłość?” – pyta Papież w Orędziu do młodych na XXII Światowy Dzień Młodzieży. I odpowiada: „Całkowite i doskonale objawienie miłości Bożej dokonuje się na Krzyżu, gdzie, jak stwierdza św. Paweł „*Bóg okazuje nam swoją miłość właśnie przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami*” (Rz 5, 8). Każdy z nas może przeto bez ryzyka błędu powiedzieć, że „*Chrystus mnie umiłował i samego siebie wydał za mnie*” (por. Ef 5, 2). Żadne ludzkie życie, odkupione przez Jego krew, nie jest bezużyteczne czy mało wartościowe, gdyż wszyscy jesteśmy osobiście przez Niego kochani miłością żarliwą i wierną, miłością bez granic.” Bóg nas nie tylko kocha, ale jest Miłością i nie może przestać nas kochać! „Nowość Chrystusa polega na tym, że kochać tak jak On nas ukochał, znaczy kochać wszystkich, bez różnicy, także wrogów, „do końca” (por. J 13, 1). I nie ma tu żadnych warunków.

Od samego początku wiernym świadkiem Światowych Dni Młodzieży jest Krzyż Roku Świętego. Podarowany młodemu na zakończenie Nadzwyczajnego Jubileuszu Odkupienia stał się od 22 kwietnia 1984 roku "żywą ikoną Kościoła pielgrzymującego po drogach świata". Na Krzyżu znajdują się wyryte w czterech językach słowa Jana Pawła II: "Nieście go po całej ziemi jako znak miłości Pana Jezusa do całej ludzkości i głoście wszystkim, że zbawienie i odkupienie jest tylko w Chrystusie umarłym i zmartwychwstałym". Krzyż Światowych Dni Młodzieży wędruje po całym świecie docierając do milionów serc młodych ludzi.

Pojawia się pytanie, czy eksponowanie krzyża nie jest potwierdzeniem stereotypu, mówiącego o tym, że chrześcijaństwo jest religią cierpienia? Wciąż powinniśmy sobie przypominać, że chrześcijaństwo jest religią Miłości i to Miłości Wcielonej. W centrum naszej wiary jest Chrystus, Wcielona Miłość Niestworzona. Chrystus przyszedł na świat po to, aby objawić miłość Boga do człowieka. Celem wcielenia nie jest cierpienie. Celem wcielenia Boga jest miłość Boga do człowieka. Krzyż stał się wyrazem takiej miłości, która oddaje wszystko. Nie ma większej miłości, niż oddać życie za przyjaciół. A Chrystus oddaje swoje życie za nieprzyjaciół, oddaje je wtedy, gdyśmy jeszcze byli grzesznikami. Ojciec Niebieski nie ma upodobania w śmierci swego Syna. On ma upodobanie w Jego miłości, która objawiła się przez krzyż.

Trudno nam, ludziom, uwierzyć w taką miłość za darmo. Miłość, na którą nie trzeba zasługiwać, której nie trzeba sobie kupować dobrymi uczynkami i naszą ludzką sprawiedliwością. Bóg nas kocha nie dlatego, że jesteśmy dobrzy, ale dlatego, że On jest Dobry. Bóg nie przestanie ciebie i mnie kochać, ponieważ jesteśmy Jego dziećmi. Jak wyobrazić sobie taką bezinteresowną i bezwarunkową miłość? Może pomóc nam obraz mamy będącej w stanie błogosławionym, z troską i czułością oczekującej narodzin dziecka, które nosi pod swoim sercem. To małe, niewidoczne jeszcze, dziecko nie może sobie zasłużyć na miłość ani uśmiechem, ani nieporadnie wypowiedzianym słowem: „mama”. Nie może wyręczyć mamy w domowych pracach, przytulić się do niej czy przynieść prezentu na imieniny. To małe dziecko jest kochane przez rodziców, a zwłaszcza przez mamę, tylko dlatego, że jest. Oto drobna intuicja tego, czym jest miłość Boga do każdego człowieka, do ciebie i do mnie.

Jeśli człowiek uwierzy w taką miłość, jeśli jej doświadczy, wówczas nie będzie się bał przyznać do swojego grzechu. Człowiek, który wie, że jest tak kochany, nie będzie udawał, że nie jest słaby, że nie potrafi sobie poradzić, że potrzebuje pomocy. Odpowiedzią tak ukochanego człowieka będzie po prostu pozwolenie Bogu, by go pokochał. Oto, co powinniśmy zrobić jako pierwsze, po odkryciu, że jestem kochany przez Boga, pomimo mego grzechu – pozwolić Bogu się kochać!

I znów obrazek z codziennego życia. Małe dziecko, gdy się wybrudzi czy skaleczy, biegnie po pomoc do mamy. Z daleka pokazując pobrudzone dłonie czy skaleczone miejsce. Wie, że tylko u kochającej mamy znajdzie zrozumienie i wsparcie. Dziecko, im starsze, bywa, że tym częściej zaczyna ukrywać przed rodzicami swoje brudy i skaleczenia. Możemy to niedoskonałe porównanie znów w pewien sposób odnieść do naszej postawy wobec Pana Boga. Kiedy upadniemy, zgrzeszymy, powinniśmy z naszą biedą i popełnionym złem – jak małe dziecko - uciekać do Jezusa, nigdy od Niego. Bóg tego pragnie, ponieważ jest naszym Ojcem. Nigdy przed Bogiem nie udawajmy dorosłych, samowystarczalnych. Po pierwsze to nieprawda, a po drugie mamy prawo, jako dzieci, prosić Ojca o pomoc. Jako dorośli partnerzy, którzy chcą Bogu płacić za miłość, takiego prawa już się sami pozbawiamy.

Takim dorosłym partnerem Pana Boga uczynił się faryzeusz Szymon. On tak naprawdę w swoich oczach Boga nie potrzebował. Jego drobiazgową, bezduszną pobożność przysypała Boga, zasłoniła Jego Oblicze, tak że Go już nie widział. Widział tylko swoją doskonałość i na jej tle wielką grzeszność innych, w tym przypadku tej bezwstydną kobietę. Uważał, że zyskuje przychyłność Boga dzięki swoim religijnym praktykom i pobożnościowym zwyczajom. Był więc samowystarczalny, dorosły, usprawiedliwiony przed Bogiem, dzięki swoim staraniom i swojej sprawiedliwości. Nie potrzebował usprawiedliwienia – sam się usprawiedliwiał. Nie potrzebował zbawienia, ratunku – sam się zbawiał i ratował od grzechu swoją ludzką, zarozumiałą religijnością. Tak sobie wmawiał.

Inaczej owa jawnogrzesznica. Odkryła tego dnia, wcześniej pewnie obserwując Jezusa, Jego czyny i słowa, że ten Mistrz z Nazaretu jest kimś, kto kocha, jak tego pragnęło zawsze jej zranione grzechem serce. Jest kimś, kto kocha jak Bóg. Gdy tylko odkryła taką miłość, nie bała się już, że zostanie odepchnięta ze względu na swój grzech. Jej odpowiedzią na przeczuwaną Jezusową miłość było uznanie swego grzechu i poddanie się pod obronę miłości. Jezus zobaczył w niej najpierw Boże dziecko, a dopiero później grzesznicę. Zobaczył najpierw człowieka zranionego i cierpiącego z powodu grzechu, który uwierzywszy Jemu, jako Miłości Przebaczącej, uznaje swój grzech i wyznaje go przed Nim.

Jezus jako jedyny wie, co zrobić z grzechem człowieka. Więcej. Kobieta ta wylała na stopy Jezusa bardzo cenny olejek, który prawdopodobnie nabyła za pieniądze grzesznie zdobyte. Oddała więc Bogu również to wszystko, co było konsekwencją i skutkiem grzechu, a więc strach, rozpacz, smutek, żal, samotność i wszystko to, co każe myśleć i mówić, że życie jest beznadziejne i bezsensowne. Kiedy to się stało, kiedy jej serce uwolniło się od tego, co nie było miłością, wypełniło się Jezusowym przebaczeniem, a więc miłością czystą i twórczą. Wtedy już rzeczywistością w niej stały się słowa Jezusa wypowiedziane do Szymona:

„Odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała”(Łk 7, 47).

Człowiek sam z siebie nie może i nie potrafi kochać. Źródłem miłości jest bowiem Bóg. Kto chce kochać, musi uznać w sobie tę bezsilność kochania, powodowaną także przez grzech. Nasza podstawowa odpowiedzialność za zło popełnione w życiu, za nasze grzechy polega więc na tym, byśmy najpierw pozwolili

się Bogu kochać na jego warunkach, a więc jako Jego dzieci. Wtedy, bez większego lęku, możemy spełnić kolejny element odpowiedzialności za popełnione zło - uznać swoje grzechy przed Bogiem i przed sobą.

Następnie ze szczerym żalem powinniśmy ten grzech wyznać, czyli oddać Bogu, razem z okazjami do niego i z wszystkimi uwarunkowaniami. Wtedy uwolnione od zła nasze serce może napełnić Jezusowa miłość. Pierwsza jest więc miłość Boga. Odkrycie takiej miłości sprawia, że człowiek nie chce żyć w grzechu. Potrafi zgrzeszyć, ale nie potrafi w grzechu żyć. Właśnie o to chodzi – żeby człowiekowi było źle żyć w grzechu; żeby z grzechem uciekał człowiek do Chrystusa, nigdy od Niego. Bo tylko Chrystus wie, co zrobić z grzechem człowieka. Człowiek nie wie.

Tak o tym pisze Jan Paweł II we wspomnianym orędziu na XIV SDM: „Przystępujcie z ufnością do sakramentu spowiedzi: przez wyznanie grzechów okażcie, że pragniecie uznać swoją niewierność i odrzucić ją; dacie świadectwo, że potrzebujecie nawrócenia i pojednania, aby odzyskać godność synów Bożych w Jezusie Chrystusie, która przywraca pokój i przynosi owoce; wyrazicie solidarność z braćmi również doświadczonymi przez grzech (por. KKK, 1445)” (Jan Paweł II, Orędzie na XIV SDM).

Kiedy Mosad, wywiad izraelski, złapał w Argentynie wielkiego zbrodniarza wojennego Eichmana, znaleziono przy nim kasety magnetofonowe z kilkugodzinnym nagraniem jakby spowiedzi tego nieszczęśnika. Kiedy sędzia na rozprawie pytał go, czy nie bał się, że ktoś te kasety odkryje i że zostanie zdemaskowany, odpowiedział, że bardzo się bał, ale nie mógł już wytrzymać potwornego ciężaru zła, który opanował jego serce. Kiedy zaś pytano Apostoła Trędowatych, bł. o. Damiana, co było jego największym problemem na wyspie Molokai, odpowiadał, że nie lęk przed zarażeniem się trędem, ale to że przez dłuższy czas nie miał dostępu do kapłana i nie mógł się wyświadczyć.

Nasz Pan, Jezus Chrystus doskonale o tym wiedział, i dlatego pierwszy dar, jaki człowiek otrzymał od Zmartwychwstałego, to sakrament spowiedzi. Jezus tak się spieszył z tym prezentem do człowieka, że – jak ktoś żartobliwie powiedział - nawet nie zdążył otworzyć drzwi do Wieczernika, tylko od razu wszedł mimo drzwi zamkniętych. I zabrzmiały te zbawienne słowa Jezusa: „Którym grzechy odpuscicie są im odpuszczone, a którym zatrzymacie są im zatrzymane” (J 20, 23). Adrienne von Speyer – wielka mistyczka, protestantka – jak twierdziła, została przekonana do katolicyzmu właśnie poprzez sakrament spowiedzi. Odnalazła w nim wyjątkową prawdę i sens umierania naszego Zbawiciela, którego krzyk do Ojca Niebieskiego z krzyża był rodzajem spowiedzi w imieniu całej ludzkości. Napisała zresztą piękną książkę pt. „Spowiedź”.

Praktykę spowiedzi odkrywa na nowo albo pierwszy raz tysiące młodych podczas Światowych Dni Młodzieży. W Rzymie, podczas Jubileuszu Młodych w 2000 roku, przez trzy dni w Circo Massimo, dawnym cyrku rzymskim, miejscu męczeństwa pierwszych chrześcijan, setki tysięcy młodych ludzi celebrowało Święto Przebaczenia. Najpierw brali udział w katechezie, następnie przeszli przez Drzwi Święte w Bazylice św. Piotra, a jeszcze potem kończyli swą jubileuszową pielgrzymkę spowiedzią. Na środku Circo Massimo ustawiono Krzyż Roku Świętego; w głębi było podium, gdzie kilka razy dziennie sprawowano Eucharystię. Natomiast wzdłuż ulicy między Circo Massimo a Palatynem, gdzie kiedyś mieszkali rzymscy cesarze, pod białymi namiotami ustawione były konfesjonały, w których dwa tysiące spowiedników udzielało sakramentu pojednania. Spowiedzi trwały od wczesnych godzin rannych do północy.

Spowiedź odbywała się również w około 300 kościołach Rzymu. Młodzi masowo się spowiadali, a Jezus, odpuszczając wszystkie grzechy, dawał im pokój, entuzjazm i radość życia. Szacuje się, że wtedy ze spowiedzi skorzystało około miliona młodych ludzi. I tak rozpoczęła się tradycja organizowania specjalnych miejsc, które stawały się gigantycznym konfesjonalem. To wyjątkowy fenomen Światowych Dni Młodych, który wskazuje, jak bardzo chrześcijaninowi potrzebna jest praktyka osobistej spowiedzi.

Sakrament spowiedzi jest wielkim darem, ponieważ Bóg obiecał w swoim słowie, że „jeżeli wyznajemy nasze grzechy, Bóg jako wierny i sprawiedliwy odpuści je nam i oczyści nas z wszelkiej nieprawości” (1 J 1, 9). Tak napisał św. Jan Apostoł w swoim liście. Wyznanie Bogu naszych grzechów sprawia, że stajemy się uwolnieni od zła grzechu. To jest Boża obietnica. Natomiast nie wyznanie grzechu, zatajenie, nie uznanie grzechu za grzech sprawia, że grzech i jego skutki drażnią nasze serce i gryzą nasze sumienie. Jeśli nie oddamy grzechu na spowiedzi, to aby nie cierpieć, zaczynamy racjonalizować grzech, nazywać go błędem, problemem, a później zaczynamy się nim chwalić, nazywać cnotą. Byłe tylko zagłuszyły sumienie. A wystarczy tylko uznać swój grzech i się wyświadczyć.

Każdy z nas jest grzesznikiem. Jesteśmy powołani do odpowiedzialności za popełnione zło. W stylu jawno grzesznicy, nie faryzeusza. Trzeba zobaczyć w swoim życiu swój grzech i oddać go Jezusowi, by On mógł nas napełnić swoją przebaczącą miłością. Wtedy Jego miłość w nas, podpowie nam, jak naprawiać popełnione zło i jak pomnażać codziennie dobro.

Co się dzieje podczas spowiedzi z naszym sercem? Do telewizji zaproszono znanego artystę rysownika. W programie uczestniczyły także dzieci. Podawano im kartki papieru i kredki. Dzieci na kartkach malowały swoje bazgroły i bohomy. Następnie podawano te rysunki owemu artyście. Ten patrzył na każdy parę chwil, a później zabierał się do rysowania. Po jakimś czasie pokazywano do kamery rysunki artysty. Nie do uwierzenia. Potrafił on z dziecięcych bazgrołów stworzyć piękne krajobrazy, martwą naturę, portrety. Jeśli człowiek tak potrafi, to co dopiero Duch Święty. My oddajemy Bogu poprzez kapłana w konfesjonale bazgroły naszego życia, wszelkie grzechy, a On potrafi odtworzyć w nas piękny obraz Bożego dziecka, o czystym i pięknym sercu. A człowiek o takim sercu jest błogosławiony, ponieważ widzi Boga.

Światowe Dni Młodzieży to wielka szansa na pojednanie z Bogiem, to okazja, by oczyścić także swoje serce. Do tego zachęcał też wprost młodych papież Benedykt w Madrycie: „Korzystajcie z tych dni, aby lepiej poznać Chrystusa i aby mieć pewność, że jeśli jesteście zakorzenieni w Nim, to wasz entuzjazm i radość, pragnienie przekraczania przeciętności, osiągnięcia tego, co najdoskonalsze, aż do Boga, mają zawsze pewną przyszłość, ponieważ życie w pełni przebywa już w was. Sprawiajcie, aby za Bożą łaską wzrastało ono w was, hojnie, bez przeciętności, poważnie biorąc pod uwagę cel, jakim jest świętość. W obliczu naszych słabości, które czasami nas przygniatają, liczymy także na miłosierdzie Pana, który zawsze gotów jest nam na nowo podać rękę i ofiarowuje nam przebaczenie w Sakramencie Pokuty”.

DZIEŃ DZIEWIĄTY

INTENCJA: Modlimy się o odwagę świadectwa na co dzień

ZNAKI TOŻSAMOŚCI, CZYLI JAK ZOBACZYĆ BOGA W KOŚCIELE

„Wkrótce potem udał się do pewnego miasta, zwanego Nain; a szli z Nim Jego uczniowie i tłum wielki. Gdy zbliżył się do bramy miejskiej, właśnie wynoszono umarłego - jedyne go syna matki, a ta była wdową. Towarzyszył jej spory tłum z miasta. Na jej widok Pan uzalił się nad nią i rzekł do niej: «Nie płacz!» Potem przystąpił, dotknął się mar - a ci, którzy je nieśli, stanęli - i rzekł: «Młodzieńcze, tobie mówię wstań!» Zmarły usiadł i zaczął mówić; i oddał go jego matce. A wszystkich ogarnął strach; wielbili Boga i mówili: «Wielki prorok powstał wśród nas, i Bóg łaskawie nawiedził lud swój». I rozeszła się ta wieść o Nim po całej Judei i po całej okolicznej krainie” (Łk 7,11-17)

„Szawel ciągle jeszcze siał grozę i dyszał żądzą zabijania uczniów Pańskich. Udał się do arcykapłana i poprosił go o listy do synagog w Damaszku, aby mógł uwięzić i przyprowadzić do Jerozolimy mężczyzn i kobiety, zwolenników tej drogi, jeśliby jakichś znalazł. Gdy zbliżał się już w swojej podróży do Damaszku, olśniła go nagle światłość z nieba. A gdy upadł na ziemię, usłyszał głos, który mówił: «Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?» «Kto jesteś, Panie?» - powiedział. A On: «Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz. Wstań i wejdź do miasta, tam ci powiedzą, co masz czynić»” (Dz 9, 1-6)

„Również ja, podobnie jak wy, miałem dwadzieścia lat. Lubiałem uprawiać sport, jeździć na nartach, czytać. Uczyłem się i pracowałem. Miałem pragnienia i troski. W tamtych latach tak dziś odległych, w czasach, w których moja ziemia ojczysta była zraniona wojną a później reżymem totalitarnym, szukałem sensu, aby nadać go swemu życiu. Znalazłem go w pójściu za Panem Jezusem.” Takie świadectwo dał Jan Paweł II młodym Szwajcarom podczas swojej pielgrzymki do ich ojczyzny w czerwcu 2004 roku. Spotkał się wtedy Ojciec Święty w hali sportowej w Bernie z ponad 13 tysiącami młodych. Jako hasło spotkania wybrał Papież słowo z przytoczonej Ewangelii – „Wstań”(por. Łk 7, 14). To było ostatnie oficjalne spotkanie św. Jana Pawła II z młodymi. Skoro tak, to warto się mu bliżej przyjrzeć.

Jan Paweł II komentując fragment ewangelicznej historii o wskrzeszeniu młodzieńca, mówił: „ Z jednej strony smutny orszak, towarzyszący w drodze na cmentarz młodemu synowi wdowy; z drugiej radosna grupa uczniów, idących za Jezusem i słuchających Go. Również dzisiaj(...) można się znaleźć w tym smutnym orszaku, który podąża drogą miasteczka Nain. Dzieje się tak, jeśli poddajecie się rozpacz, jeśli

złudzenia świata konsumpcji pociągają was i odrywają od prawdziwej radości, aby wepchnąć was w przelotne przyjemności, jeśli oplątują was obojętność i powierzchowność, jeśli w obliczu zła i cierpienia wątpicie w obecność Boga i Jego miłość do każdej osoby, jeśli próbujecie w nieuporządkowanej uczuciowości zaspokoić wewnętrzne pragnienie miłości prawdziwej i czystej. Właśnie w takich chwilach Chrystus zbliża się do każdego z was i - jak do młodzieńca z Nain - kieruje słowo, które wstrząsa i budzi: "Wstań!", "Przyjmij wezwanie, które postawi cię na nogi!"

Jesteśmy zaproszeni dzisiaj i zawsze, wszyscy, by „wstać” i przestać kręcić się tylko wokół własnych smutnych spraw i bied. Żyjemy bowiem niekiedy jakby w żałobnym orszaku. Większość, jak się wydaje, a na pewno wielu, nieustannie narzeka, coś oplakuje, kogoś krytykuje, plotkuje czy nawet oczernia. Tworzy się przedziwny klimat społeczny czy środowiskowy, gdzie atmosfera jest pełna zniechęcenia, bezsensu i beznadziei. Taki żałobny orszak. Słowo Boże zachęca nas, byśmy, za przykładem św. Pawła, przestali zwalczać Kościół Boży. Naszym życiem dalekim od Ewangelii, czyli Dobrej Nowiny, zwalczamy Kościół Jezusa, osłabiamy Go, czynimy mniej wiarygodnym. Żyjąc w żałobnym orszaku głosimy nie Dobrą, ale Złą i nie Nowinę, ale Stare Wiadomości. Nie do tego jesteśmy powołani! W Hiszpanii, kiedy corrida jest nieciekawa, dziennikarze posługują się często złośliwym komentarzem: „Ludzie zachowywali się tak, jak w kościele”. Po chrzcie, po włączeniu w Chrystusa i w Kościół mamy żyć Dobrą Nowiną, jako chrześcijanie. Zostaliśmy powołani do życia w Kościele, w którego centrum jest radość!

„Wstań!” Jan Paweł II tak pięknie powiedział młodemu: „Nie chodzi tu o zwykłe słowo: to sam Jezus staje przed wami, Słowo Boże, które stało się Bogiem. To On jest "światłością prawdziwą, która oświeca każdego człowieka" (J 1, 9), prawdą, która nas wyzwala (por. J 14, 6), życiem, które Ojciec nam daje w obfitości (por. J 10, 10). Chrześcijaństwo nie jest po prostu księgą kultury lub ideologii, nie jest nawet systemem wartości czy zasad, nawet najwznioślejszych. Chrześcijaństwo jest Osobą, obecnością i obliczem: Jezusem, który nadaje sens i pełnię życiu człowieka.”

Chrześcijanin jest powołany do tego, by nawiązać i wciąż podtrzymywać niezwykłą, miłosną relację do Jezusa, który jest w centrum naszej religii. Edyta Stein wraz ze swoją przyjaciółką zwiedzała katedrę we Frankfurcie nad Menem. W pewnym momencie weszła do świątyni jakaś prosta kobieta, pewnie z targu. Położyła swoje tobołki i na moment przyklęła na cicha modlitwę. Po chwili wstała i wyszła. Dla przyszłej karmelitanki i świętej, to był szok. Ona nigdy nie widziała kogoś, kto by wszedł do świątyni porozmawiać z Bogiem. Ta prosta kobieta nawet nie wiedziała, jaką lawinę uruchomiła w życiu Edyty Stein, późniejszej św. Benedykty od Krzyża (por. Marzena Cyfert, *Od ateizmu do mistyki*, Tygodnik Niedziela 32/2012, s.10).

Najpierw jest spotkanie i relacja do Osoby Jezusa Chrystusa, a potem wszystko inne: prawdy wiary, liturgia, przykazania, system wartości itd. Jeśli poprzestawiamy kolejność, to bycie chrześcijaninem będzie nie do zniesienia. W imię czego mam bowiem wyznawać trudne dogmaty, przyjmując je za prawdę; dlaczego mam uczestniczyć w sakramentach, a zwłaszcza we Mszy świętej; po co mam się męczyć z dekalogiem i innymi zasadami; z jakiej racji mam przyjmować za swoje przykazania Kościoła? Jest tylko jeden powód: Jezus Chrystus i Jego miłość do mnie, miłość ukrzyżowana oraz moje pragnienie, by pozwolić się Mu kochać i odwzajemniać tę miłość na moją ludzką miarę. Jeśli to odkryję, to wszystko zrobię, by tej miłości nie stracić: uwierzę nawet w najtrudniejsze prawdy, bo Jezus je objawił; pójdę do spowiedzi i do Komunii Świętej, bo On przywraca i umacnia w nich swoją miłość; oznaczę moją wolność dekalogiem, bo Jezus powiedział, że kto wypełnia przykazania, osiągnie szczęście już tu i na wieki; posłucham Kościoła, bo On ustanowił, ukochał Kościół i życie swoje oddał za Niego. Tylko taka kolejność daje życie!

Amerykański pisarz Julien Green, kiedy stał na progu nawrócenia i szukał argumentów, by wierzyć, to przed podjęciem decydującego kroku, stawał przy drzwiach kościoła i czekał. Myślał sobie, że jeśli ci ludzie rzeczywiście wierzą, to na pewno wyjdą z rozpromienionymi twarzami, z rozświetlonymi oczami, z ogniem w sercach. Tymczasem gorzko zauważał: „Schodzą z Kalwarii i znudzeni ziewają” (por. Julien Green, *Dziennik*, PAX Warszawa 1972, s. 167). Często w naszej wierze zatrzymujemy się jakby na Kalwarii, na śmierci Jezusa. Powinniśmy pozwolić Jezusowi wyjść z grobu, do którego wrzuciliśmy Go i przywaliliśmy ciężkimi kamieniami. Co jest takim kamieniem, którym zamknąłem Jezusa w grobie i nie pozwalam Mu żyć w mojej codzienności?

Grobowiec w języku greckim znaczy „mnemeior”, czyli „miejsce wspomnień”. Nie możemy traktować Jezusa jak pamiątki, wspomnienia, legendy, postaci historycznej, idei, teorii. Jezus jest Żywy! Jeśli

nie zmartwychwstanie w naszym życiu, to wówczas On nie będzie ożywiał nas, będziemy wciąż wędrować w orszaku żałobnym. Podobnie młodzieniec z Nain był niesiony w żałobnym orszaku dopóty, dopóki nie spotkał Jezusa. Wtedy, gdy Jezus Go osobiście dotknął i powiedział: „Wstań”, wtedy otrzymał ponownie życie, a Jezus oddał Go matce.

Ojcowie Kościoła w obrazie tej matki widzieli Matkę – Kościół, która oplakuje swego każdego syna, gdy ten umrze. Śmiercią dla chrześcijanina jest zawsze i każdy grzech ciężki. Z tego też powodu Matka – Kościół swą modlitwą i pokutą wyprasza powrót każdego swego dziecka do życia. Pragnie być obecna wszędzie tam, gdzie umarłe jej dziecko nie może się podnieść ze śmierci grzechu. Jezus też nie chce, by Jego wspólnota była orszakiem śmierci. Pragnie nieustannie przywracać swoich umiłowanych uczniów do życia w łasce i powierzać ich Kościołowi. To On jest obecny w swoim Kościele i dostarcza mu niezbędnych darów i łask, by był on wspólnotą życia i miłości.

To tutaj, we wspólnocie Kościoła, wierzący słyszy kolejne wezwanie, kolejne – jak powie Jan Paweł II – zaproszenie: „Słuchaj!” Niech cię nie męczy ćwiczenie się w trudnej nauce słuchania. Słuchaj głosu Pana, który mówi do ciebie przez wydarzenia codziennego życia, przez radości i cierpienia, jakie ci towarzyszą, przez osoby, które stoją obok ciebie, przez głos sumienia, spragnionego prawdy, szczęścia, dobroci i piękna. Jeśli nauczysz się otwierać serce i umysł z gotowością działania, odkryjesz "swe powołanie", to znaczy ten plan, jaki od zawsze Bóg w swej miłości przeznaczył dla ciebie.”

I dalej Papież zachęca, byśmy wyzbyli się lęku i nie ustawiali w poszukiwaniach Jezusa, w nawiązywaniu z Nim wciąż na nowo i mocniejszej relacji: „ Nie bójcie się spotkania z Jezusem, ale raczej szukajcie Go w uważnym i wrażliwym czytaniu Pisma Świętego oraz w modlitwie osobistej i wspólnotowej; szukajcie Go w aktywnym udziale w Eucharystii; szukajcie Go w spotkaniu z kapłanem w sakramencie pojednania; szukajcie Go w Kościele, który ukazuje się wam w grupach parafialnych, ruchach i stowarzyszeniach; szukajcie Go w obliczu brata cierpiącego, potrzebującego i cudzoziemca.”

To nieustanne słuchanie i szukanie Jezusa jest warunkiem wzrostu i pogłębiania się naszej wiary. Tymczasem coraz częściej nasza obecność w życiu parafialnym, nasze religijne praktyki stają się kulturowym zwyczajem i pustym obrzędem. Pewna afrykańska kobieta chciała wyprać chusty. Do jednej z nich włożyła małe dziecko i poszła nad rzekę. Kiedy prała, nie zauważyła, że jej synek na czworakach zbliżył się do rzeki. Gdy dostrzegła zagrożenie, było już za późno. Nurt rzeki porwał chłopca. Kobieta zabrała swoje rzeczy i wróciła do domu. Wieczorem powiedziała swojemu mężowi: „Wiesz, nasz syn został porwany przez pęd rzeki, ale nie jestem zmartwiona, bo przecież mam jeszcze tę chustę, w której go nosiłam” (*por. o. T. Forrest, Zróbmy to!, Wydawca: Exodus, Częstochowa 2003*).

Historia zmyślona czy nie, ale jest metaforą opisującą naszą współczesną kulturę. Może opisująca moją religijność. Zgubiliśmy Chrystusa. Może nawet Go pogrzebaliśmy. Pozostały po Nim chusty, pieluszki, opakowania, kokardy, dekoracje, wystawy sklepowe, gadzety świąteczne, potrawy, smaki, pieśni, dźwięki. Pewnie to wszystko kiedyś było ze względu na Niego, na Chrystusa. Ale dzisiaj, już zapomnieliśmy w kulturze ogólnej, ale i w osobistym życiu, po co to wszystko, ze względu na kogo? Usiłujemy pustkę zappełnić czymkolwiek.

A wiara, jak powie św. Paweł, „rodzi się z tego, co się słyszy, tym zaś, co się słyszy, jest słowo Chrystusa”(Rz 10, 17). Jeśli badania podają, że przeciętnie każdy Polak ogląda telewizję przez 4 godz. 30 min. dziennie, to pojawia się pytanie o jakość naszej wiary. Wiara rodzi się z tego, co się słyszy. Czyich słów częściej słucham? Jakie są codzienne proporcje słów Jezusa do słów, którymi karmi mnie ten świat? Komu albo czemu ja bardziej wierzę: Jezusowi i Jego Kościołowi czy może mediom? Dlatego konieczne jest to wezwanie: „Słuchaj!” i to nie byle kogo, ale samego Boga! Jak usłyszeć, jak rozpoznawać Boży głos?

W Nowym Jorku przeprowadzono pewien eksperyment. Zatrudniono do współpracy jednego z najlepszych skrzypków świata. Muzyk ten dzień wcześniej dał w mieście doskonały koncert. Ponad tysięczna publiczność zgotowała mu owację na stojąco. Następnego dnia, ów muzyk przebrany w łachmany, poszedł do metra i tam zagrał to samo, co na koncercie i na tych samych wyjątkowych skrzypcach Stradivariusa. Okazało się, że zarobił tylko 30 dolarów, a tylko dwie osoby zatrzymały się na dłużej niż minutę. Inni wchodzili, przechodzili i wychodzili (*por. Willi Hoffsummer, 365 x ufność, Kielce 2004, s. 164*).

Słowo Boże wydaje się być bardzo proste, zbyt banalne, by wielu uwierzyło, że jest słowem samego Boga. Traktujemy je niejednokrotnie jako słowo tylko ludzkie. Dlatego tak ważne jest, by to Boże słowo czytać we wspólnocie, w Kościele. Słuchać go, kiedy jest proklamowane podczas liturgii. Kiedy będziemy Boże słowo często celebrować we wspólnocie Kościoła, to później będzie nam je łatwiej rozpoznawać jako rzeczywiście słowo Boga podczas indywidualnej lektury. Boże słowo ma szczególną moc. Ono ma moc oczyszczania. Jezus powie do swoich uczniów: „Wy już jesteście czysti, dzięki słowu, które wypowiedziałem do was” (J 15,3). Poprzez słowo Chrystus wypełnia nasze wnętrza swoją obecnością i, jeśli pozwolimy Mu działać, czyni nas wolnymi od grzechu i przywiązań, a więc czyni nas ludźmi czystego serca.

Takie czyste serce, będzie mogło zobaczyć obecnego Boga w swoim Kościele. Przytoczyliśmy na początku ten przejmujący dialog Jezusa z Szawłem: „«Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?» «Kto jesteś, Panie?» - powiedział. A On: «Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz (Dz 9, 5). Jezus Chrystus, Syn Boży i Syn Człowieczy utożsamia się ze swoim Kościołem. Możemy zobaczyć Boga w Jego Kościele! Dla wielu ta prawda jest szokująca i nie do przyjęcia.

Papież Benedykt XVI mówił do młodych w Madrycie: „Tak, Kościół nie jest zwykłą ludzką instytucją, jak każda inna, ale jest ściśle zjednoczony z Bogiem. Sam Chrystus odnosi się doń jako do „swojego” Kościoła. Nie można oddzielać Chrystusa od Kościoła, tak jak nie można oddzielać głowy od ciała (por. 1 Kor 12,12). Kościół nie żyje sam z siebie, ale z Pana. Jest On obecny w nim i daje mu życie, pokarm i siły.” Dlaczego to takie ważne?

W roku 2003 powstał amerykańsko-czeski, krótkometrażowy film pt. „Most”. Film opowiada o człowieku samotnie wychowującym syna, pracującym jako operator mostu zwodzonego. Pewnego dnia ów ojciec staje przed dramatycznym. Jego syn, będąc blisko mostu, przypadkiem wpada do zapadni i niefortunnie ląduje na mechanizmie odpowiedzialnym za podnoszenie i opuszczanie mostu. Ojciec, widząc to zdarzenie oraz nadjeżdżający pociąg, ma do podjęcia decyzję: opuścić most którego mechanizm zmiążdży syna, ale pozwoli aby pociąg pełen pasażerów bezpiecznie przejechał, czy uratować syna kosztem jadących pociągiem ludzi. Ojciec opuszcza most. Pociąg bezpiecznie przejeżdża, nieświadomi niczego pasażerowie wszyscy ocaleli. Film jest metaforą zbawienia dokonanego w Chrystusie.

Bóg „własnego Syna nie oszczędził, ale Go za nas wszystkich wydał”(Rz 8, 32). Większość ludzi nie ma nawet pojęcia, że zostali zbawieni, uratowani od największego nieszczęścia, jakim jest śmierć wieczna. Tym bardziej nie są świadomi, za jaką cenę to się stało. Kościół jest po to, by propozycję zbawienia w Chrystusie ogłaszać i pomagać ludziom zbawienie przyjmować oraz nim żyć już w doczesności.

Kościół nie da się zrozumieć od zewnątrz. Trzeba wejść do środka. Z zewnątrz często nie jest atrakcyjny. Wielu wciąż wytyka ludziom Kościoła błędy i grzechy przeszłości czy szuka namiętne dzisiejszych słabości. Inkwizycja, wyprawy krzyżowe, pedofilia, pycha, nadmierne przywiązanie do spraw materialnych itd. To trudna prawda. Jezus jednak chciał Kościoła i to dla grzeszników. Kiedy św. Piotr w Ogrójcu wyciągnął miecz i obciął ucho Malchusowi, Jezus temu nie zapobiegł, chociaż był blisko. Owszem, skarcił Piotra, a później uleczył zranionego sługę arcykapłańskiego.

W Kościele są grzeszni ludzie. Tak samo jak wtedy Piotr, nie słuchają niejednokrotnie nauczania Mistrza z Nazaretu. Jezus tak jednak szanuje naszą wolność, że nie reaguje na to od razu. Później sam czy przez innych w Kościele naprawia błędy i uzdrawia rany oraz wypełnia słabość swą mocą. Patrzymy na naszych rodziców, naszą rodzinę, oczywiście, na nas samych, i widzimy, że nie jesteśmy idealni. Nawet czasem bardzo wstydzimy się zachowań członków naszej rodziny. Czy to powód, by się wypierać ojca czy matki, córki czy syna? Sam mogę krytykować i narzekać na postawy moich bliskich, wewnątrz rodziny, ale gdy czyni to ktoś obcy, czy mnie to boli? Czy też dołączam do oponentów i szyderców? A może zmieniam nazwisko, tożsamość?

Erazm z Rotterdamu, to jeden z największych humanistów epoki renesansu, znany z wielu krytycznych uwag formułowanych pod adresem Kościoła. On w odpowiedzi na pytanie Marcina Lutra, dlaczego dotąd pozostaje w tym Kościele, który przecież tak krytykuje, odpowiedział, że tak długo będzie czekał na poprawę swego Kościoła, jak długo on czeka na jego poprawę. Jezus przyszedł do grzeszników i Jego Kościół jest dla grzeszników.

Tu nie chodzi o to, by świadomie i bezkrytycznie nie przejmować się grzechem, by grzech pochwałać. Każdy człowiek jest grzesznikiem, niezależnie od tego, czy widzi swój grzech czy też nie. I nikt z ludzi nie może sobie sam w tym pomóc, zlikwidować, unieważnić grzech i jego skutki. Może to uczynić jedyny Zbawiciel świata Jezus Chrystus. On chce to czynić w Kościele i poprzez Kościół. Zostawił konkretne sposoby – znaki i narzędzia, zwane sakramentami – w których uobecnia wszystkie łaski i dary potrzebne do tego, by każdy człowiek wierzący mógł doświadczać zbawienia. Tu chodzi o prawdę, o której wspomina św. Paweł: „Gdzie jednak wzmógł się grzech, tam jeszcze obficie rozlała się łaska” (Rz 5, 20). Od czasu przyjścia na świat Jezusa Chrystusa i dokonania przez Niego dzieła odkupienia, grzech dla człowieka wiary nie jest przeszkodą w spotkaniu z Bogiem. Staje się miejscem spotkania ze Zbawicielem.

Trudno rozpoznać Jezusa obecnego w takim Kościele. Trudności z uwierzeniem w to, że poraniony i zbity, ukrzyżowany i zabity Jezus żyje miał również św. Tomasz Apostoł. Powiedział współbraciom, że nie uwierzy, że Jezus żyje, jeśli nie dotknie Jego ran. Dzięki tej wątpliwości apostoła możemy lepiej zrozumieć tajemnicę słabości w Kościele. Kiedy Jezus daje się poznać Tomaszowi, pozwala mu dotykać swoich ran. Apostoł Tomasz wypowiada znamienne słowa: „Pan mój i Bóg mój. Powiedział mu Jezus: „Uwierzyłeś dlatego, ponieważ Mnie ujrzałeś. Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli” (J 20, 28-29).

Ciałem Chrystusa jest dzisiaj Jego Kościół. Prawdziwą obecność Jezusa w Kościele poznajemy po ranach. Kiedy Jezus po swym zmartwychwstaniu wchodzi do wieczernika pokazuje apostołom swoje rany, jakby chciał im powiedzieć: „To jest mój dowód tożsamości, moje rany. Owszem, popatrzcie – to jest także dowód Mojej miłości do was, rany za was poniesione, dla waszego zbawienia. Ale jednocześnie te rany są moim dowodem tożsamości. Po ranach Mnie będziecie rozpoznawać”.

O św. Marcinie z Tours mówiono, że kiedyś podczas modlitwy miał się mu objawić szatan, pod postacią Chrystusa. Święty nie dał się jednak zwieść. „Gdzie masz swoje rany?” – zapytał. I natychmiast szatan zniknął. W ten sposób rozpoznajemy Jezusa w Kościele. Nie tyle w tym, co piękne i wzniosłe, ile w tym, gdzie grzech człowieka pozostawia w Kościele rany. Tu Jezus chce być obecny. Rany pozostają ranami, grzechy są grzechami – nie wolno bezkarnie poprzez grzech zadawać ran Kościołowi. Niemniej one są i będą, ponieważ jesteśmy grzesznikami. Te rany stają się dzięki Jezusowi drogą, przejściem, paschą do nowego życia. Tak jak to się stało w przypadku ran Jezusa.

Dotykając więc ran w Kościele - różnorodnej biedy, nędzy, samotności, smutku, pustki, ciemności, lęków, niepokoju, chorób, śmierci – możemy dotykać samego Jezusa. Błazej Pascal, francuski filozof chrześcijański, nie mógł przez pewien okres przystępować do Komunii świętej. Wówczas w swoim domu opiekował się chorym nędzarzem, aby w ten sposób chociaż „przyjmować Chrystusa”.

Papież Benedykt XVI mówił w Madrycie o miłości do Kościoła: „Mieć wiarę oznacza opierać się na wierze twoich braci i że twoja wiara służy w ten sam sposób jako wsparcie dla wiary innych. Proszę was, drodzy przyjaciele, abyście kochali Kościół, który zrodził was do wiary, który wam dopomógł w lepszym poznaniu Chrystusa, który pozwolił wam odkryć piękno Jego miłości”. Kochać Kościół, to także czuć się za niego odpowiedzialnym.

Opowiadał poniższą historię świadek tego wydarzenia. Pewna Wietnamka, katoliczka, chodziła od domu do domu i głosiła Ewangelię. W czasie jednej rozmowy domownicy zaczęli atakować Kościół i kapłanów. Wtedy ona uklękła i powiedziała: „Jestem katoliczką, córką Kościoła. Widziałam swoich dwóch braci, którzy za to, że byli katolikami, zostali łopatami zabici przez Czerwonych Khmerów. A teraz w imieniu Kościoła proszę was o przebaczenie moich grzechów i grzechów mego Kościoła.” Zaskoczeni mieszkańcy, patrzyli na siebie, nie wiedząc, co czynić. Ona klęczała nadal. Powtórzyła, że nie wstanie dopóki jej nie przebaczą. „Jestem Wietnamką, potrafię tak klęczeć tydzień” – powiedziała. Wtedy wciąż skonsternowani ludzie powiedzieli: „No dobra, przebaczymy”. „Nie – odpowiedziała kobieta – ja teraz reprezentuję Kościół, jestem na kolanach. Chcę was zobaczyć twarzą w twarz i usłyszeć, że przebaczacie”. Wtedy wszyscy uklękli i płakali. Nastąpiło pojednanie.

Ale to nie wszystko. Po dwóch zaproszeniach, wezwaniach: „Wstań!”, „Słuchaj!”, jest jeszcze jedno: „Wyrusz w drogę!” „Nie zadowolaj się dyskusowaniem; nie czekaj, aby zrobić coś dobrego, na okazje, które może nigdy się nie pojawią. Już nadszedł czas działania!”- tak zachęcał na wspomnianym już spotkaniu św. Jan Paweł II. I dodał : „Dziś bardziej niż kiedykolwiek przedtem w świecie często bez światła i bez odwagi

szlachetnych ideałów, nie ma czasu, aby wstydzić się Ewangelii (por. Rz 1, 16). Jest to raczej czas głoszenia jej na dachach”. (por. Mt 10, 27).

Podobnie zachęcał do dawania świadectwa papież Benedykt XVI w Madrycie: „Z przyjaźni z Jezusem zrodzi się także bodziec prowadzący do dawania świadectwa wiary w najróżniejszych środowiskach, nawet tam, gdzie się ją odrzuca lub gdzie panuje obojętność. Nie można spotkać Chrystusa i nie ukazywać Go innym. Nie zatrzymujcie więc Chrystusa dla siebie! Przekazujcie innym radość waszej wiary! Świat potrzebuje świadectwa waszej wiary, z pewnością potrzebuje Boga”.

Życie ma to do siebie, że chce być przekazywane, chce się pomnażać, chce obfitować. Inaczej umiera. Podobnie jest z wiarą w Jezusa. Oto prosty przykład wzięty z natury. Okazuje się, że zarówno Morze Galilejskie jak i Morze Martwe tworzone są przez te same zasoby wodne Jordanu. Chłodna, przejrzysta woda spływa ze zboczy Hebronu. W morzu Galilejskim woda jest zdatna do życia, ma bowiem ujście. Dostaje wodę, żeby oddać. Żyją w nim ryby i rośliny wodne. Morze Martwe, zasilone tą samą wodą z Jordanu, jest puste, bez ryb i roślin, bo brak mu odpływu. Dostaje wodę, żeby ją zatrzymać dla siebie.

Podobnie jest z człowiekiem. Każdy z nas jest zasilany miłością i życiem od Boga. On pragnie, byśmy to, co otrzymujemy przekazywali innym ludziom. A On wciąż będzie nas pokrzepiał i ożywił swoją mocą. Jeśli zaś wszystko egoistycznie zatrzymamy dla siebie, wówczas będziemy bardzo obciążeni i utrudzeni, woda uczuć i przyjemności opadnie, a pozostanie tylko gorzka sól samotności i pustki. Nie mamy więc wyjścia. Nawet w imię własnego dobra, a tym bardziej z miłości do Boga i naszych bliźnich w Kościele, mamy świadczyć o żywym Bogu obecnym w swoim Kościele. Jesteśmy powołani do życia w Kościele i mamy zadanie żyć tym życiem i ogłaszać je innym. Program jest prosty: „Wstań!, „Słuchaj!”, „Wyrusz w drogę!”

DZIEŃ DZIESIĄTY

INTENCJA: Modlimy się intencji Świątowych Dni Młodych w Krakowie w 2016 roku

ZMARSZCZKI JEZUSA, CZYLI O BOGU UKRYTYM W CZŁOWIEKU

„A oto powstał jakiś uczony w Prawie i wystawiając Go na próbę, zapytał: «Nauczycielu, co mam czynić, aby osiągnąć życie wieczne?» Jezus mu odpowiedział: «Co jest napisane w Prawie? Jak czytasz?» On rzekł: Będiesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całą swoją mocą i całym swoim umysłem; a swego bliźniego jak siebie samego. Jezus rzekł do niego: «Dobrześ odpowiedział. To czyn, a będziesz żył». Lecz on, chcąc się usprawiedliwić, zapytał Jezusa: «A kto jest moim bliźnim?» Jezus nawiązując do tego, rzekł: «Pewien człowiek schodził z Jerozolimy do Jerycha i wpadł w ręce zbójców. Ci nie tylko że go obdarli, lecz jeszcze rany mu zadali i zostawili na pół umarłego, odeszli. Przypadkiem przechodził tą drogą pewien kapłan; zobaczył go i minął. Tak samo lewita, gdy przyszedł na to miejsce i zobaczył go, minął. Pewien zaś Samarytanin, będąc w podróży, przechodził również obok niego. Gdy go zobaczył, wrzucił się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiązał do gospody i pielęgnował go. Następnego zaś dnia wyjął dwa denary, dał gospodarzowi i rzekł: "Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie, gdy będę wracał". Któryż z tych trzech okazał się, według twego zdania, bliźnim tego, który wpadł w ręce zbójców?» On odpowiedział: «Ten, który mu okazał miłosierdzie». Jezus mu rzekł: «Idź, i ty czyn podobnie!»” (Łk 10, 25-37)

Okazuje się, że pierwsze MP3 znano już w Starym Testamencie. Jest opisane w Biblii. Na pytanie zadane Jezusowi o najważniejsze przykazanie, które ma realizować człowiek, pytający, uczony w Prawie, sam odpowiedział, łącząc w jedno trzy wymiary ludzkiej miłości: miłość do Boga, miłość do człowieka i miłość do siebie. Taka Miłość Powszechna w trzech wymiarach, czyli MP3. Sam jednak nie rozumiał, kim jest dla niego bliźni. Różnie to bowiem rozumiano.

Pewien kapłan głosił kazanie do dzieci. Pokazał im najpierw zegarek, pytając o to, do czego służy zegarek. Dzieci odpowiedziały słusznie, że do pokazywania czasu. Wtedy ksiądz zapytał dzieci, do czego nadaje się zegarek, który nie pokazuje czasu. Dzieci odpowiedziały, że do niczego. Następnie kaznodzieja pokazał dzieciom ołówek i zadał podobne pytanie: „Do czego służy ołówek?” I tym razem dzieci dobrze odpowiedziały, mówiąc, że do pisania. Wtedy kapłan zapytał o to, do czego służy ołówek, którym już się nie da pisać. Odpowiedź dzieci była jednoznaczna i pewna, że też do niczego. I w końcu ksiądz ostatnim pytaniem

objawił wszystkim, o co mu chodziło. Zapytał swoich słuchaczy, może trochę nieładnie, do czego służy człowiek, co jest zadaniem człowieka na ziemi. Ktoś odpowiedział, że człowiek ma kochać Boga nade wszystko, a bliźniego swego jak siebie samego. „A jeśli człowiek nie czyni tego, do czego jest powołany? Jeśli nie kocha? Do czego się nadaje? – pyta kapłan. Dzieci odruchowo i głośno odpowiedziały: „Do niczego!”

Może nas trochę oburzyć czy dotknąć to porównanie, które usłyszeliśmy przed chwilą. Ale gdy się nad tym głębiej i uczciwie zastanowimy, to ma ono pewien sens, który możemy wyrazić takimi słowami: „Chrześcijanin, który nie służy, służy do niczego”. Wszystko, co istnieje, powinno bowiem działać zgodnie ze swą naturą i przeznaczeniem. Do istoty naszej natury należy rozumność i wolność, które są nam dane po to, byśmy kochali. Jesteśmy podobni do Boga, stworzeni na Jego obraz i podobieństwo. On jest Miłością. Stąd nie mamy wyjścia – powinniśmy, żeby nie powiedzieć musimy, kochać i być kochani, by nie zgubić swojej istoty i nie zapomnieć o naszym przeznaczeniu.

W przytoczonej Ewangelii Jezus, w sposób niezwykle obrazowy, ukazuje nam konkretny sposób praktykowania miłości. Przypowieść o miłosiernym Samarytaninie wskazuje nam tak naprawdę na samego Jezusa, który przychodzi z pomocą biednemu człowiekowi. Tym człowiekiem jestem ja sam, każdy z nas. W przypowieści człowiek ten schodził z Jerozolimy do Jerycha. Tak nie wolno było mu zrobić. W biblijnej symbolice Jerozolima, to miasto święte, miejsce przebywania Boga. Jerycho zaś, to miasto położone w największej depresji świata, a więc symbol grzechu i ciemności duchowej. Taka podróż musiała skończyć się tak, jak się skończyła. Tajemniczy nieprzyjaciele, bandyci, to dary, jakich udzielił temu człowiekowi Bóg, a którymi on się źle posługiwał. Człowiek ów zostaje wtedy obrabowany ze swej godności dziecka Bożego, pobity przez grzech, zostawiony ledwie żywy, czyli skazany na śmierć wieczną, pozostawiony w pustce i beznadziei.

Przechodzący mimo kapłan, to symbol religijnego prawa, które widzi grzech i słabość, człowieka, ale nie jest mu w stanie pomóc. Podobnie lewita, czyli odpowiedzialny za kult, za liturgię, przechodzi obok i nie jest w stanie pomóc temu biednemu grzesznikowi. Samo oskarżanie, wskazywanie zła i grzechu nie wystarczy. Sama modlitwa, najpiękniejsze celebry i największe nawet ofiary nie wystarczą. Potrzebna jest jeszcze aktywna, miłosierna miłość.

Przychodzi Miłość Wcielona. Pojawia się wreszcie Samarytanin, czyli Jezus, który idzie w kierunku odwrotnym – z Jerycha do Jerozolimy. Wychodzi z doliny grzechu ku miastu świętemu. Tylko On jest w stanie pokonać tę drogę. Ujrzał leżącego i ulitował się nad biednym człowiekiem. Jezus widzi nasze grzechy, widzi nasze słabości, naszą niedolę, cierpienie. Jest Bogiem miłosiernym, dlatego Ewangelia mówi, że ulitował się, wzruszył się głęboko. To tak jak Ojciec miłosierny z przypowieści o synu marnotrawnym – wzrusza się głęboko na widok biedy człowieka.

Oto piękny przykład tego, gdzie jest źródło Bożego Miłosierdzia. Głęboko w Jego wnętrzu, w Jego kochającym, przebitym na krzyżu Sercu. Bóg w swoim miłosierdziu pochyla się nad grzesznym człowiekiem, przychodzi bardzo blisko. Najpierw widzi cierpiącego człowieka, potem jego grzech. Opatruje rany grzechu, skutki grzechu, a więc zabiera strach, smutek, rozpacz, samotność. Zalewa je oliwą i winem, a więc leczy człowieka przez swoje słowa, jak balsam i przez swego Ducha, który daje życie i radość, jak wino. Następnie wsadza grzesznika na swe juczne zwierzę. Wielu komentatorów mówi, że tym jucznym zwierzęciem jest człowieczeństwo Jezusa. On „na własnym ciele poniósł nasze grzechy na drzewo krzyża” (1 P 2, 24), abyśmy żyli, jak napisze św. Piotr. Następnie tego biednego grzesznika Syn Boży zostawił w gospodzie razem ze wsparciem dwóch denarów, zapewniając, że wszystko jeszcze wyrówna, gdy powróci. Tą gospodą jest Chrystusowy Kościół, któremu Jezus powierzył troskę o człowieka. Nazajutrz Samarytanin odszedł. Krótko był Jezus z nami na ziemi. Ale odchodząc do Ojca, dając dwa denary wskazał, że Kościół ma się troszczyć o całego człowieka, o jego duszę i o jego ciało również.

Przy pewnym kościele zbiera się codziennie na śniadaniu około stu bezdomnych. Zapytani, czego im najbardziej potrzeba do życia, odpowiadają zgodnie: „Godnego zaufania adresu”. Kościół ma być takim godnym zaufania adresem, gościnną gospodą, w której każdy strudzony i poturbowany przez życie może się schronić. Chrystus powierzył Kościołowi człowieka i troskę o jego zbawienie, czyli uratowanie go od grzechu oraz leczenie i umacnianie go przez sakramenty, aż do czasów swego powtórnego przyjścia w chwale, na końcu czasów. Wtedy, aż nadto zwróci i wynagrodzi każdemu za miłosierną miłość wobec innych, swoją

wieczną miłością, czyli taką, która nigdy się nie kończy. Oto pokrótce interpretacja tej pięknej przypowieści, która jest przypowieścią o historii zbawienia wszystkich ludzi i każdego człowieka. Jest ta przypowieść również zaproszeniem do naśladowania Samarytanina w jego służbie drugiemu człowiekowi.

Pewien mały chłopczyk przynosił zawsze do przedszkola dwie chusteczki. Gdy zdziwiona wychowawczyni spytała, dlaczego tak postępuje, odpowiedział: - „Jedna jest po to, by wycierać sobie nos, druga, żeby wytrzeć oczy komuś, kto płacze”. Chrześcijanin jest przywoływany do Chrystusa nie tylko po to, by przy jego Zbawicielu było mu dobrze. On jest przywołany po to, by wpatrzony w przykład Jezusa, mógł potem służyć innym.

Mówił o tym Ojciec Święty Benedykt XVI w Kolonii, „Jeśli myślimy i żyjemy na mocy łączności z Chrystusem, wtedy otwierają się nam oczy. Wtedy nie zgodzimy się dłużej wegetować, troszcząc się jedynie o siebie samych, lecz ujrzymy, gdzie i jak jesteśmy potrzebni. Tak patrząc i postępując, szybko przekonamy się, że znacznie piękniej jest być pożytecznym i być do dyspozycji innych, niż troszczyć się wyłącznie o proponowane nam wygody. Wiem, że jako młodzi ludzie dążycie do rzeczy wielkich, że pragniecie się angażować na rzecz lepszego świata. Pokażcie to ludziom, pokażcie to światu, który czeka na takie właśnie świadectwo uczniów Jezusa Chrystusa (...). To dawanie świadectwa ma polegać na praktykowaniu miłosierdzia, na dostrzeganiu wokół nas, tych którym powinniśmy konkretnie pomóc”.

W pięknej encyklice o „Bogu bogatym w miłosierdzie” Jan Paweł II podaje nam bardzo proste definicje miłosierdzia, które warto, byśmy nosili w naszej pamięci i naszym sercu. Pomogą nam one praktykować służbę wobec naszych bliźnich bez wyniosłości i bez upokarzania potrzebujących. Ojciec Święty pisał: „W swoim właściwym i pełnym kształcie miłosierdzie objawia się jako dowartościowywanie, jako podnoszenie w górę, jako *wydobywanie dobra spod wszelkich nawarstwień zła*, które jest w świecie i w człowieku.(...) Trzeba, ażeby to właściwe oblicze miłosierdzia było wciąż na nowo odsłaniane. Naszym czasem wydaje się ono — pomimo wszelkich uprzedzeń — szczególnie potrzebne.”(DM 6).

Miłosierdzie to *dowartościowywanie, to podnoszenie w górę człowieka*. I drugie określenie, które mówi o *wydobywaniu dobra spod wszelkich nawarstwień zła*. Warto w ten sposób patrzeć na naszych bliźnich. Widzieć w nich najpierw Boże dzieci, które wpadły w błoto grzechu, nałogu, czy też nędzy materialnej, bezdomności, bezrobocia, a może choroby czy cierpienia. Najpierw patrzymy na ich godność równą naszej, a potem patrzymy na to czego im brakuje, a co niekoniecznie my też mamy w wystarczającej ilości, albo mamy, ale nie dlatego, że jesteśmy lepsi czy bardziej zasługujący. Nasze dowartościowywanie bliźniego nie może być przez niego odbierane jako upokorzenie czy poniżenie.

Niektórzy żydowscy komentatorzy biblijni tłumaczą, w jaki sposób mamy dawać jałmużnę. Kiedy chcemy kogoś obdarować, ważne jest, abyśmy naszą dłoń wyciągali w ten sposób, aby nasz dar leżał na wewnętrznej stronie naszej dłoni, która powinna być skierowana do góry. Tymczasem bardzo często, kiedy dajemy jakiś dar, wówczas naszą dłońią tak go trzymamy, że podając ów dar (np. monetę), mamy naszą dłoń skierowaną stroną zewnętrzną do góry. Ten prosty gest dawania może nas wiele nauczyć. Wyciągnięta dłoń, dająca dar od góry jest sugerowaniem drugiemu, że daję ci dar z łaski, jestem kimś lepszym, większym od ciebie, mam nad tobą przewagę. Ręka biorącego jest bowiem wtedy niżej. Nawet jeśli tego tak nie myślę, czy tym bardziej nie mówię, to jednak taki gest coś takiego wyraża.

Tymczasem dłoń wyciągnięta, dająca dar leżący na jej wewnętrznej stronie, jest niżej od dłoni, która dar przyjmuje. Jest to jednocześnie gest prośby. W ten sposób bowiem prosimy o jakiś dar – trzymając dłoń stroną wewnętrzną do góry. Zmienia się optyka i znaczenie gestu. Okazuje się, że dający, tak naprawdę otrzymuje dar, sam jest obdarowany. Św. Raymund de Penafort bardzo kochał biednych. Zwykł nazywać ich swymi wierzycielami. Liczy się przed Bogiem tak naprawdę tylko to, co ofiaruję, podaruję komuś z miłości: trochę uwagi, czasu, sił, obecności, pieniędzy.

Jest taka piękna rosyjska legenda o bogatym człowieku, bardzo zatroskanym, o pieniądze. Myślał o nich nawet w obliczu śmierci. Ostatkiem sił odwiązał kluczyk noszony przez siebie na szyi, skinął na służącą i wskazał na skrzynię stojącą obok swego łoża, a następnie kazał włożyć pieniądze do dużego worka i umieścić je w swojej trumnie, w której oczekiwał już na śmierć. Kiedy znalazł się w niebie, zobaczył długi stół zastawiony najlepszymi potrawami. Zapytał: - Ile kosztuje ten chleb? Jedną kopiejkę – padła odpowiedź. A sardynka? – Tyle samo. A ten pasztet? – Wszystko po kopiejce. Uśmiechając się pomyślał: to bardzo tanio –

i wybrał całą tacę potraw. Ale gdy chciał zapłacić sztuką złota, sprzedawca nie przyjął zapłaty. Potrząsając z litości głową powiedział: - Stary, mało nauczyłeś się w swoim życiu. – Co to znaczy? – zamruczał. – Czy nie dosyć moich pieniędzy? I oto usłyszał odpowiedź: - My przyjmujemy tu tylko ten pieniądz, który ktoś podarował innym.

„*Wszystko, co czyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili*” (Mt 25, 40) – powie Chrystus. Tę prawdę św. Piotr Chryzolog wyraził następująco: *Dłoń ubogiego jest skarbcem Chrystusa, cokolwiek otrzymuje biedny, Chrystus otrzymuje*. Dlatego w oczach Bożych – jak powie Jan Paweł II – człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, ale przez to, czym dzieli się z innymi. Każdy dobry uczynek, gest czy słowo, odwiedziny, życzliwy list, czas poświęcony innym – wszystko to, o ile jest wewnętrznym darem skierowanym do drugiego człowieka, trafia niejako wprost do Chrystusa, do Boga. A Bóg, będąc miłosierny i dobry, nie pozwoli się wyprzedzić w miłości.

Siostra Małgorzata Chmielewska, przełożona Wspólnoty Chleb Życia w Polsce, opowiada, że nie miałyby odwagi zaproponować mieszkańcom swoich domów około 80% odzieży, którą dostają od ludzi. Mówi, że inaczej jest, kiedy paczkę ze zniszczoną odzieżą przyniesie uboga staruszka, która sama w takich rzeczach chodzi. Wtedy wiadomo, że jest to dar serca. Bywa jednak, że podjeżdża pod ich dom elegancki samochód i zostawia brudną, podartą odzież, która przeleżała w szafach parę lat, a jej dotychczasowi właściciele zrobili sobie porządku, a z ich domu tak naprawdę śmietnik.

W swoich rozważaniach pt. „*Wezwanie*” s. Małgorzata pisze: „*Każdy z nas pragnie być kochany. Trudniej nam przychodzi kochać, bo kochać to znaczy po prostu dawać. Dojrzałość człowieka polega na zdolności do miłości, a więc do daru z siebie. Współczesny świat pełen jest sfrustrowanych, zgorzkniałych dorosłych, którzy mają umysł dziecka – nie potrafią kochać, ponieważ myślą miłość z miłością. Depresje, narkotyki, alkohol, seks, praca, pieniądze – to ucieczka przed pustką i niemożnością obdarowania innych. Niekochane dzieci, niekochane żony, niekochani mężowie, samotność we wspólnotach zakonnych. My nawet organizując dzieła miłosierdzia, gubimy po drodze samo miłosierdzie na korzyść wydajności. Wielu starszych mieszkańców naszych domów otrzymuje po wielu staraniach miejsca w domach pomocy społecznej, gdzie warunki materialne są nieporównanie lepsze niż w naszych ubogich domach. Niektórzy z nich stamtąd uciekają, ponieważ są tam w sterylnych pokojach niesłychanie samotni. Są numerami w kartotece. I recepta Jezusa: << Zaczynaj dawać, dawać bez wyrachowania, bez liczenia na zapłatę, wdzięczność; dawać to, co masz najlepszego, jeśli chcesz otrzymać najlepsze... A będzie ci dane przeżyć miłość większą niż sobie wyobrażasz. Wejdiesz w strumień Bożego miłosierdzia, który nie ma końca>>. << Tam, gdzie nie ma miłości, dawajcie miłość, a otrzymacie miłość>> - mówi św. Jan od Krzyża. Trzeba tylko zrobić pierwszy krok” (s. M. Chmielewska, *Wezwanie, Wydawnictwo Fides, Kraków 2001*).*

Tak było też w życiu bohaterki filmu pt. „*Dzwonki nadziei*”. Niewidoma czarna kobieta porusza się po swoim domu z wielką precyzją. Zna każdy kąt, umie umiejscowić każdy przedmiot. Nie wychodzi jednak nigdy sama z domu. Jej pasją było kolekcjonowanie dzwonek. Czuli się w domu bardzo bezpiecznie. Pewnego dnia umiera jej matka – najbliższa osoba. Główna bohaterka zostaje sama. Moment przełomowy tej historii, to pojawienie się w sąsiedztwie dziesięcioletniego chłopca. Kobieta zaprzyjaźnia się z nim. Pomaga mu radzić sobie z dysleksją. A on uczy ją, jak się posługiwać białą laską, tak by mogła wreszcie sama chodzić, sama sobie radzić, co uchroni ją przed zabraniami do domu opieki. Historia ta pięknie opisuje wzajemną wymianę darów. Ten mały chłopiec, sam potrzebujący wsparcia, a także niewidoma kobieta, zależna bardziej od innych, pokazują nam, że każdy może coś dać drugiemu.

Pytamy, jak konkretnie pomagać? Trudno dawać receptę na wszystkie sytuacje. Na pewno ważna jest roztropność, ale jeszcze ważniejsza jest miłość. Św. Brat Albert Chmielowski mawiał: „*Bez miłości grosz jest szorstki, strawa podana niesmaczna, opieka najlepsza niemiła*.” Tak więc najważniejsza jest miłość i z nią w sercu wobec bliźnich mamy podejmować konkretne uczynki miłosierne, o których nie wolno nam zapominać. Może warto więc je tutaj przypomnieć. Uczynki miłosierne co do ciała: Głodnych nakarmić. Spragnionych napoić. Nagich przyodziać. Podróżnych w dom przyjąć. Więźniów pocieszać. Chorych nawiedzać. Umarłych pogrzebać. To są konkretne sytuacje, które możemy spotkać w naszej codzienności.

Ale jeszcze ważniejsze są uczynki miłosierne co do duszy. Te, o których dzisiaj chyba się zapomina zbyt często. Dotyczą one bowiem nie tyle biedy i potrzeb materialnych, ile braków i nędzy duchowej. A tutaj każdy z nas potrzebuje wielkiego miłosierdzia, czyli *wydobywania dobra spod wszelkich nawarstwień zła*. I

tak wymienimy katechizmowe uczynki miłosierne, co do duszy: Grzesznych upominać. Nieumiejętnych pouczać. Wątpiącym dobrze radzić. Strapionych pocieszać. Krzywdy cierpliwie znosić. Urazy chętnie darować. Modlić się za żywych i umarłych.

Życie jednak jest o wiele bogatsze, jak tego doświadczamy na co dzień. Dlatego Jan Paweł II w swym wielkim realizmie zaprasza nas do czegoś więcej. Podczas wizyty w Polsce w 2002 r. w homilii na błoniach krakowskich powiedział: „W obliczu współczesnych form ubóstwa, których jak wiem nie brakuje w naszym kraju, potrzebna jest dziś — jak to określiłem w liście *Novo millennio ineunte* — «wyobraźnia miłosierdzia» w duchu solidarności z bliźnimi, dzięki której pomoc będzie «świadectwem braterskiej wspólnoty dóbr» (por. n. 50). Trzeba spojrzenia miłości, aby dostrzec obok siebie brata, który wraz z utratą pracy, dachu nad głową, możliwości godnego utrzymania rodziny, wykształcenia dzieci doznaje poczucia opuszczenia, zagubienia i beznadziei. Potrzeba «wyobraźni miłosierdzia», aby przyjść z pomocą dziecku zaniedbanemu duchowo i materialnie; aby nie odwracać się od chłopca czy dziewczyny, którzy zagubili się w świecie różnorodnych uzależnień lub przestępstwa; aby nieść radę, pocieszenie, duchowe i moralne wsparcie tym, którzy podejmują wewnętrzną walkę ze złem. Potrzeba tej wyobraźni miłosierdzia wszędzie tam, gdzie ludzie w potrzebie wołają do Ojca miłosierdzia: «Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj». Oby dzięki bratniej miłości tego chleba nikomu nie brakowało! «Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią» (Mt 5, 7).”

Taką wyobraźnią miłosierdzia na pewno charakteryzują się za każdym razem młodzi, którzy podczas spotkań młodzieży z papieżem pełnią posługę wolontariatu. W czasie tych dni tysiące młodych z różnych stron świata służy innym młodym w bardzo wielu wymiarach. Wystarczy znać dobrze jakiś język obcy, być pełnoletnim i mieć trochę czasu oraz chęci. Wielu wolontariuszy spotyka się ze sobą także później, zawiązują się przyjaźnie, a nawet piękne małżeństwa.

Na zakończenie Światowych Dni Młodych w Madrycie, papież Benedykt XVI spotkał się z wolontariuszami. Papież serdecznie dziękował młodym za służbę: „We wszystkich wydarzeniach, w których uczestniczyłem, byliście i wy: niektórzy widoczni, inni na drugim planie, dbaliście, by panował porządek, konieczny, aby wszystko szło dobrze. Nie mogę też zapomnieć o wysiłku włożonym w przygotowanie tych Dni. Ileż poświęcenia, ile życzliwości! Wszyscy — każdy jak umiał i mógł — krok po kroku swą pracą i modlitwą tworzyliście cudownie wielobarwny obraz tego Dnia. Dziękuję bardzo za wasze oddanie! Wielu z was musiało zrezygnować z bezpośredniego udziału w uroczystościach, ponieważ byliście zajęci wykonywaniem innych zadań organizacyjnych. A jednak wyrzeczenie to było bardzo piękną i ewangeliczną formą uczestniczenia w Dniu: przez poświęcenie się dla innych, o którym mówi Jezus. W pewnym sensie urzeczywistniliście słowa Pana: «Jeśli ktoś chce być pierwszym, niech będzie ostatnim ze wszystkich i służyć wszystkim» (Mk 9, 35). Jestem pewien, że to doświadczenie pracy jako wolontariusze ubogaciło wasze życie chrześcijańskie, które jest głównie służbą miłości. Pan przemienił wasze nagromadzone zmęczenie, troski i ciężar wielu chwil w owoce chrześcijańskich cnót: w cierpliwość, łagodność, radość z poświęcania się dla innych, gotowość do pełnienia woli Bożej. Kochać to służyć, służba zaś potęguje miłość. Myślę, że jest to jeden z najpiękniejszych owoców waszego wkładu w Światowy Dzień Młodzieży. A te owoce zbieracie nie tylko wy, lecz cały Kościół, który — jako tajemnica jedności — bogaci się wkładem każdego ze swych członków”.

Mała dziewczynka wróciła do domu od sąsiadki, której ośmioletnia córeczka niedawno tragicznie zmarła. - Po co tam chodziłaś? – Zapytał ją tato. - Żeby pocieszyć tę biedną panią. - Jesteś przecież taka malutka, w jaki sposób mogłaś ją pocieszyć? - Usiadłam jej na kolanach i płakałam razem z nią. Tylko dzieci tak potrafią. Znajdą sposób, by wejść w tajemnicę, której rozum nie jest w stanie ogarnąć. To jest z pewnością łaska – widzieć więcej i dalej.

W czasie spotkania młodych, jeden z dni bywa przeznaczony na prace społeczne. Młodzi z różnych krajów, pod okiem gospodarzy, wykonują jakieś prace pożyteczne dla lokalnej społeczności. Jedni malują ściany w przedszkolu, inni sadzą drzewka, jeszcze inni malują sprzęty na placu zabaw. Jedna z grup, przebywająca przed spotkaniem w Sydney w 2008 roku w Melbourne w Australii, została poproszona o odwiedzenie starszych, samotnych osób, mieszkających w domu opieki społecznej. Oczywiście większość nie znała języka, ale wystarczyło usiąść przy łóżku domownika, potrzymać za rękę, uśmiechnąć się, wspólnie pooglądać zdjęcia z lat młodości, fotografie dzieci i wnuków, które rzadko odwiedzają. Tylko tyle i aż tyle.

Naszym bliźnim jest zawsze ten, który jest blisko nas i jest w potrzebie. Czasem jest łatwiej „kochać” cierpiące dzieci w Afryce czy ofiary kataklizmów w Azji. Trudniej świadczyć miłosierną miłość tym, co są właśnie najbliżej, dlatego są oni naszymi bliźnimi. Bliźni to również ktoś, kto w jakiś sposób bywa trudny w kochaniu. Mówi o tym także polskie słowo „bliźni”. To bywa ten, którego kochając, narażamy się na zranienia z jego strony, który nie zawsze potrafi przyjąć pomoc. Czasem ją odrzuca, czasem wymaga albo żąda innej pomocy, często nie bywa uprzejmy, życzliwy czy wdzięczny. Taki bliźni pozostawia zranienia w naszym sercu, czasem rodzi negatywne uczucia, może żal, gniew czy złość. W takim przypadku jesteśmy wezwani do tego, by te rany zabliznić właśnie. By przebaczyć, by okazać największe miłosierdzie przez przebaczenie naszym winowajcom, tak jak takiego miłosierdzia sami doświadczamy od Boga.

Podczas Światowych Dni Młodzieży, zanim wszyscy wyruszą na centralne wydarzenia, niektóre grupy mogą wcześniej spędzić około tygodnia w innej wybranej diecezji kraju, gdzie odbywa się to Święto Młodych. Pewna grupa z Polski, zanim udała się do Kolonii, wcześniej mogła być goszczona przez młodych i dorosłych w diecezji Meinz. Wszyscy mieszkali w domach prywatnych, po dwie, trzy osoby. Gospodarze, jak zwykle, bardzo gościnni i serdeczni. Jedno starsze małżeństwo bardzo pragnęło, by zamieszkał u nich kapłan z Polski. Tak się też stało. Dwóch kapłanów i dwóch studentów zamieszkało w całkiem niedużym i zwyczajnym domu. Zarówno kapłani, jak i studenci otrzymali swoje klucze, by mogli swobodnie korzystać z dostępu do domu. Pełne zaufanie. Wieczorami gospodarz zasiadał do pianina i próbowano razem śpiewać znane piosenki – jedni po niemiecku, drudzy po polski. Małżeństwo to opowiadało, że rok wcześniej razem odbyło pieszą pielgrzymkę do Santiago de Compostella.

W ostatni wieczór dokonała się rzecz niezwykła. Gospodarz poprosił o błogosławieństwo dla nich. Kiedy kapłani położyli swoje ręce na głowę, ów stary już, prawie osiemdziesięcioletni mężczyzna, ze łzami w oczach, ucałował kapłańskie dłonie. Było to bardzo poruszające spotkanie. Okazało się, że gospodarz podczas wojny, jako młody żołnierz, brał udział w okupowaniu Polski. W jaki sposób wyglądał jego pobyt w Polsce, co robił? - nie wiadomo. Wiadomo, że bardzo pragnął ugościć Polaków i przeżyć taką chwilę, jaką przeżył. Warto więc otwierać dom swój dla pielgrzymów. Nie potrzeba wiele. Nawet niekonieczne jest łóżko. Wystarczy dywan czy materac. I trochę wody do mycia. Nie tylko wtedy dajemy, ale również otrzymujemy wiele od ludzi, ale przede wszystkim Bóg darzy taki dom i gospodarzy szczególnym błogosławieństwem.

I na zakończenie *złota reguła, klucz do pokoju serca*, jak pisze w swojej książce „*Miłość braterska*”, o. Daniel Ange (Wydawnictwo Księży Marianów, Warszawa 2006), wielki ewangelizator i duchowy kierownik młodych ludzi: „Ostatni mały klucz, który tak bardzo pomaga żyć Boskim miłosierdziem: żyć z każdym (każdą) z otaczających mnie osób tak, jakby Pan miał przyjść i zabrać ich tego wieczoru czy następnego dnia. Albo jakbym ja sam miał odejść do królestwa tego wieczoru czy następnego dnia. (...) Ale przede wszystkim, zanim do tego dojdzie, staraj się unikać zawczasu takiego rozgoryczenia(gdybym wiedział, że tak szybko odejdziesz). Począwszy od teraz wraz z tymi, którzy cię otaczają, pomnażaj gesty czułości i delikatności. Unikaj tego wszystkiego, co może zranić czy smucić. Nigdy nie będziesz tego żałował! Tak więc z każdym (każdą) żyj dziś tak, jakby ta osoba (albo ty) miała jutro odejść. Gesty, słowa, postawy uzyskują w ten sposób wstrząsającą aktualność. Przyjmij ten mały kluczyczek szczęścia, który posłuży ci do odnalezienia i odegrania partytury twojego życia, tak by stało się ono symfonią”.

Informacje o ŚDM 2016 dostępne są na stronach internetowych:

www.krakow2016.com – strona organizacyjna

www.kdm.org.pl – strona przygotowań duchowych